

Książki dla wszystkich.

Cena 20 kop.

Cena 20 kop.



BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSON

# PONAD SIŁY

DRAMAT

przełożył

Adolf Strzelecki

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

w Galloji 52 hal.



KSIĘGOZBIÓR  
KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH  
Antoniego Barłowskiego

M\_\_\_\_\_

BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSON.

# PONAD SIŁY

DRAMAT

przełożył

ADOLF STRZELECKI.

KSIĘGOZBIÓR  
Antoniego Barłowskiego



WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA



1904

## OSOBY:

|  |              |
|--|--------------|
| <b>Adolf Sang</b> , pastor.                | } pastorowie |
| <b>Klara</b> , jego żona.                  |              |
| <b>Eljasz</b>                              |              |
| <b>Rachela</b> } ich dzieci                |              |
| <b>Mrs. Hanna Roberts</b> , siostra Klary. |              |
| <b>Superintendent.</b>                     |              |
| <b>Kröier</b>                              | }            |
| <b>Bratt</b>                               |              |
| <b>Blank</b>                               |              |
| <b>Brei</b>                                |              |
| <b>Jensen</b>                              |              |
| <b>Falk</b>                                |              |

Wdowa po pastorze Agata. Nieznajomy. Lud.

## AKT I.

Uboga izba o drewnianych ścianach. Po prawej dwa okna; po lewej drzwi. U przodu sceny, ku prawej stronie, stoi łóżko, tak jednak zaścielone, aby twarz leżącego zwrócona była ku drzwiom.

Przy łóżku mały stolik zastawiony flaszkami, szklankami i t. d.

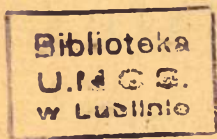
W pokoju rozstawione ubogie meble, między innymi komoda i krzesła.

### Scena I.

Na łóżku, przykryta białą kapą, leży Klara Sang. Przy jednym z okien stoi jej siostra Mrs. Hanna Roberts.

MRS. HANNA ROBERTS. Jak piękne jest słoneczne światło padające na brzozy! I jak subtelne są gałęzie tych brzóz!

A-10456



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 9 Марта 1904 года



1000172203

K.38/56/69

KLARA SANG. Ale teraz czuję woń kruszyny<sup>1)</sup>.

HANNA. Czyż jest tu w pobliżu domu kruszyna?

KLARA. Nie możesz jej stamtąd widzieć. Ale stąd czuję woń jej. Wiatr poranny pędzi wprost ku nam tę woń.

HANNA. A jednak ja nic nie czuję.

KLARA. Po tak długo trwającej słońcu czuję każdy najsubtelniejszy zapach.

HANNA. I rzeczywiście, naprawdę dochodzi cię woń kruszyny?

KLARA. Jakże silny jest ten zapach! Proszę cię, zamknij okno.

HANNA. Dobrze. Kiedy chcesz, to zamknę (zamyka okno).

KLARA. Kto to ci powiedział, żebyśmy się mieli na baczności, bo nastąpi osunięcie się góry.

HANNA. Mówił mi to stary przewoźnik, który po nas przyjechał swą łodzią. Deszcz padał nieustannie. A on powiedział, że to niebezpieczne jest bardzo, bo po tak długotrwałej, nieprzerwanej słońcu, osuwają się stoki w górach.

---

<sup>1)</sup> Szakłak kruszyna, *Rhamnus frangula*.

KLARA. Całą noc o tem tylko myślałam. Ty nie wiesz, że tu niejednokrotnie staczały się osuwiska, jakby lawiny kamieni. Raz, przed laty — ale nas tu wtedy jeszcze nie było — osuwająca się góra porwała z sobą i kościół nawet.

HANNA. Kościół?

KLARA. Tak. Ale nie ten, który teraz stoi. Stary kościół, który stał dawniej dalej od domu.

HANNA. Dlaczegoż teraz postawiono kościół tak blisko waszego mieszkania? Tuż przy murze otaczającym ogród!

KLARA. Widzisz .. w lecie podczas upałów wyjmuje się zupełnie okna kościelne, a wtedy ja, nie ruszając się nawet stąd, doskonale słyszę Adolfa, gdy śpiewa przy ołtarzu. Naturalnie te drzwi muszą być otwarte; także i drzwi tamtego pokoju trzeba wtedy otworzyć.— On tak pięknie śpiewa.— Kiedy jedne i drugie drzwi są otwarte, widzę stąd kościół. Chodź tu do mnie... Dla tego tak blisko stoi...

HANNA. Ach Klaro, że też ja ciebie musiałam zastać tak zmienioną!

KLARA. Hanno!



HANNA. Czemużeś do mnie nic nie pisała?

KLARA. Przedewszystkiem Ameryka jest tak daleko... Widzisz... A zresztą— o tem pomówimy kiedyindziej.

HANNA. Nie zrozumiałam wczoraj twej odpowiedzi, kiedym cię zapytała o lekarza.

KLARA. Odpowiedziałam ci wymijająco, ni to, ni owo, bo Adolf był przytem. Lekarz nie przyjeżdża tutaj.

HANNA. Co? Lekarz do ciebie nie przyjeżdża?

KLARA. Przyjechał raz i drugi— mieszka dosyć daleko stąd— ale mnie wcale się nie polepszyło. A że właśnie cały miesiąc spędziłam bezsennie...

HANNA. Cały miesiąc bezsennie? Nie! Ależ to nie może być!

KLARA. Już wkrótce pół roku minie, jak nie śpię wcale. Wiesz Hanno! Pół roku! Żaden doktor nicby mi nie pomógł; nicby mi na to nie poradził. Mój mąż pytał go, co mi jest właściwie, a on moje cierpienie określił jakąś szkaradną nazwą. Adolf mi jednak nie powtórzył, jak on nazwał moją chorobę i ja po



dziś dzień nie wiem tego. Odtąd nie posyłaliśmy po niego.

HANNA. Czy też ty teraz nie mówisz za dużo?

KLARA. Często całymi dniami ani słowa nie wypowiem, a potem znów mówię bezustanku i nic mnie nie może wstrzymać. Wkrótce Adolf już pewnie wróci z rannej przechadzki. I przyniesie kwiaty dla mnie.

HANNA. Może ja ci zerwę—jeżeli chcesz kwiatów?

KLARA. O nie. Są kwiaty, których znieść nie mogę. A on wie, których ja nie znoszę.

Ale Hanno, nic mi nie opowiedziałaś o twojem pierwszym spotkaniu z moimi dziećmi na pokładzie parowca. Tak bardzo bym chciała o tem się dowiedzieć.

HANNA. Wczoraj był tu taki niepokój, ruch, gwar.

KLARA. A wyście byli wszyscy tak zmęczeni. Pomyśl tylko, dzieci do tej pory jeszcze śpią. Od siódmej do siódmej. Ale taka jest już młodość!

HANNA. Bo też im ten spoczynek był

potrzebny. Ale ja nigdy nie mogę spać bez przerwy dłużej niż kilka godzin. I wcale nie czuję dziś zmęczenia.

KLARA. Tak się dzieje z wszystkimi, co przybędą w tę krainę, w której słońce o północy świeci.—To tak podnieca. Ale dzieci moje? Czyż to nie są kochane stworzenia?

HANNA. I jakie to niewinne jeszcze! Ale one nie są podobne ani do ciebie, ani do twego męża. Tylko w oczach jest podobieństwo. Ale to zauważyłam dopiero później.

KLARA. Mów! Mów o tem!

HANNA. Gdyby do ciebie, albo do niego były podobne, poznałabym je odrazu. Ale ja i was oboje nie widziałam od czasów młodości waszej. Przypomnij sobie. Widziałam dzieci twoje, kiedy przybyły na statek i potem widywałam je, chociaż jechały drugą klasą...

KLARA. Biedactwa! Pieniędzy nie starczyło im na pierwszą!

HANNA. Więc rzeczywiście nie poznałam ich. Ale pewnego poranka, stojąc na górnym pokładzie, zobaczyłam ich

oboje na dolnym. Żywo, szybko przechadzali się podemną. Za każdym razem gdy odwrócili się ku mnie plecami, pytałam się gdzie ja w życiu spotkałam oczy takie, jak one mają. Ich oczy mnie prześladowały, zapomnieć ich nie mogłam, wiedziałam, że znam te oczy.

Nagle przypadkiem kilka ptaków przeleciało nisko nad pokładem, tuż koło twojej córki i Rachela przestraszyła się, bo ptaki krzyczały jej tuż nad uchem— i wyciągnęła rękę, chcąc je odpędzić. Po tym ruchu rąk ją poznałam. Bo ten ruch przypomniiał mi ciebie. Ona go ma po tobie. I w tej samej chwili przypomniiałam sobie, czyje ona ma oczy. To oczy twego męża.

KLARA. Zesłaś do nich zaraz?

HANNA. Czyż możesz się pytać o to? — Natychmiast zeszałam na dolny pokład i zapytałam Racheli: «Czy wy nie jesteście dziećmi Adolfa Sanga i Klary?» Nie potrzebowałam właściwie odpowiedzi. Wiedziałam już doskonale. «Jestem waszą ciotką, Hanną, jadę z Ame-

ryki». I wtedy przyszło na nas troje takie ogromne, potężne wzruszenie...

(Obie siostry płaczą).

KLARA. Powiedz mi... Rachela pisała do ciebie i prosiła cię, żebyś do mnie przyjechała? Prawda, że tak było?

HANNA. Tak. I za to będę jej wdzięczna zawsze. To nadzwyczajnie dobre dziecko! Wzięłam naturalnie natychmiast oboje do pierwszej klasy. Rachelę otuliłam dużym szalem, bo jej było zimno. A Eljaszowi dałam pled.

KLARA. Dobra moja Hanno!

HANNA. Ale wiesz— to ci także muszę opowiedzieć—wtedy szedł za nami—za okrętem,— ciężki, zimny podmuch wichru i sunął po całym fiordzie. A okręt nasz właśnie znajdował się pod wysoką, nagą, szarą skałą wybrzeżną. Stado mew podniosło się z tej skały, przelatując z krzykiem tuż nad naszymi głowami. I przytem był chłód straszny, przenikający na wskroś.

Nic nie było widać na całym widnokręgu, prócz kilku nędznych, ubogich chatek w dali, nad brzegiem. Jedyne chaty, któreśmy spotkali przez całą na-

szą drogę, na olbrzymiej przestrzeni tyłu mil... Nic, tylko nagie skały i diuny.

I pomyślałem sobie: To tak wygląda ta północna kraina; to tu wyrosły te przemarznięte, drżące z chłodu dzieciaki. — Nie! tego ja nie zapomnę nigdy! To było straszne!

KLARA. Ależ ja w tem nic tak straszego nie widzę.

HANNA. Klaro! Jak mi cięży serce kiedy patrzę na ciebie, jak leżysz niemocna tu, w tem łóżku!... Czy pamiętasz siebie, jakąś była ongi,— jakim ty byłaś subtelnem, żywym, wesołem stworzeniem?

KLARA. Tak, tak! pamiętam. — Ale nie wiem nawet od czego zacząć, aby ci to wszystko wytłómaczyć, wyjaśnić. Mój Boże! Boże!

HANNA. I czemużeś ty mnie wcześniej tu do siebie nie wezwała. Przecież ty wiesz, jak mnie się powodzi! Wiesz, że mogłam ci oszczędzić tej pracy i nie dałabym ci przepracować się do tego stopnia... Czemużeś nie napisała mi prawdy? Przez tyle lat zawsze tałaś to wszystko przedemną. Do-

piero Rachelą w swym liście wypowiedziała mi wszystko, całą prawdę.

KLARA. Tak jest—i tak być musiało.

HANNA. Ależ dlaczego?

KLARA. Gdybym ci była napisała o wszystkim jak jest,—gdybym była ci wyznała wszystko—i wy wszyscy bylibyście się tu zbiegli. Nie. Ja nie chcę niczyjej pomocy. Bo mnie nikt pomódz nie może.

HANNA. A więc to wszystko było kłamstwem?

KLARA. Tak. Ja przecież zawsze kłamałam. I wszystkim kłamałam! Nie mogłam inaczej...

HANNA. Nie. Tego ja nie rozumiem! Więc jedno wobec drugiego...

KLARA. Hanno, tyś powiedziała przed chwilą, że się przeprosiłam. Tyś powiedziała, że byłabyś mi tego wszystkiego oszczędziła i to łatwo. A czyś ty kiedy widziała człowieka przeproszonego, któryby miał na tyle siły, aby prosić o pomoc, albo któryby miał na tyle siły, by oprzeć się?

HANNA. Ale przedtem, zanim do tego przyszło?



KLARA. A jednak ty tego nie rozumiesz.

HANNA. Więc wytłómacz mi — jeżeli jesteś w stanie.

KLARA. Nie. Odrazu nie mogę. Może stopniowo, powoli.

HANNA. Ale zacznijmy i od tego pytania: Czyżes ty nie miała wiary jego? Dziwne! Czy to było przyczyną?

KLARA. Nie. Ale to długa historia.— W każdym razie nie to było przyczyną. Myśmy dwie tak różne, inne, sprzeczne natury... ale to nie było przyczyną... Gdyby Adolf był taki, jakimi są inni mężczyźni, gdyby chciał być despota, panować, wtedy możeby nie przyszło do tego. Może!

Ale przez długie lata, zanim on mnie poznał, wszystkie siły — a on ma sił dużo, wierz mi — oddane były pracy. Ona stała się u niego miłością i poświęceniem siebie samego. I jak piękną, jak wspaniałą była!

Pomyśl, iż w naszym domu nigdy jedno drugiemu nie rzuciło złego słowa. Tego nikt nigdy pod tym dachem nie słyszał. Nigdy pomiędzy nami nie było



żadnej tak zwanej sceny. A przecież już prawie od dwudziestu pięciu lat jestem jego żoną. A z niego zawsze, nieustannie promieniuje świąteczny, radosny spokój. Cały rok jest dla niego jednym, wielkim świętem.

HANNA. Mój Boże... Jak ty go kochasz!

KLARA. Nie, Hanno. Kochać, to za słabe, za małe słowo. Ja poza nim wcale nie istnieję. I ty możesz mówić o oporze? Chociaż wiesz, były czasy, w których to przecież było nad moje siły.

HANNA. Jak ty to rozumiesz?

KLARA. Później ci to wytlómaczę. — Ale któżby mógł oprzeć się istocie, która nic nie ma w sobie prócz dobroci, nic prócz poświęcenia dla drugich? — nic prócz radosnego spokoju? I któżby mógł jemu się oprzeć, skoro jego dziecinna wiara i jego nadprzyrodzona moc porywa i podbija wszystkich?

HANNA. Nadprzyrodzona moc?...

KLARA. Czyżeś ty o tem nie słyszała? Dzieci nic ci nie opowiedziały?

HANNA. O czem?

KLARA. O tem, że Adolf gdy błaga i modli się całą siłą swej duszy, osiąga to, o co się modli.

HANNA. Więc myślisz, że on czyni cuda?

KLARA. Tak. Ja w to wierzę!

HANNA. Adolf?

KLARA. Czyż dzieci nic ci o tem nie mówiły?

HANNA. Nic.

KLARA. To dziwne.

HANNA. Myśmy o tem ani słowem nie wspomnieli.

KLARA. Ależ w takim razie one także tobie nie... Pewnie były przekonane, że ty już wiesz o tem. Bo Adolf to «pastor cudotwórca» i w całym kraju znany jest jako taki! One myślały, że ty już o tem wiesz. Zresztą te moje dobre dzieci są tak nieśmiałe.

HANNA. Więc on cuda czyni? Prawdziwe cuda?

KLARA. Czyż ty, ujrawszy go, nie miałaś odrazu wrażenia, iż stoisz przed jakąś nadprzyrodzoną mocą?

HANNA. Mnie samej możeby to nie przyszło na myśl. Ale teraz, po tem co ty mi

mówisz... Rzeczywiście, on robi wrażenie... Jakby je tylko określić? On robi wrażenie dziwnie uduchowionego człowieka. W każdym razie wrażenie to jest dziwne... jakby on tu wcale nie był na swoim miejscu.

KLARA. Prawda?

HANNA. Tak. Rzeczywiście.

KLARA. Wiesz, że ja tu nieraz leżę w skurczu, z nogami wygiętymi skurczem aż po pierś i ramiona.— Nie. Tego ja ci wcale nie mogę pokazać.— A nużby przyszło na mnie rzeczywiście.

I nieraz dni całe tak leżę, gdy on odejdzie i opuści mnie. I nie mogę wyprostować się. Ty nie masz pojęcia jakie to straszne!

Raz—on właśnie był w górach—ach, te jego obowiązkowe wyprawy w góry! — ja tu leżałam w skurczu ośm... ośm dni. Ale gdy on tylko stanął tu w drzwiach, gdy go ujrzałam i on spojrział na mnie, — skurcz zwolnił, ręce i nogi odsztywniały, wyprostowały się. A on stanął nademną i gładził mnie

swą ręką i wyprostowałam się zupełnie, tak jak w tej chwili.

I to samo powtarza się zawsze. Zawsze... Gdy tylko on stanie przy mnie, czuję ulgę i cierpienie moje się kończy.

HANNA. Dziwne!

KLARA. Ale cóż ty na to powiesz, że gdy chorzy, rozumie się wierzący szczerze, nie raz, ale sto razy to się zdarzało—przyszli do niego, to po modłach z nim razem, ozdrowieli zupełnie!

HANNA. I rzeczywiście ozdrowieli?

KLARA. Zupełnie są zdrowi. I cóż ty powiesz na to? Chorzy, którzy przybyć tu nie mogli — nie masz pojęcia jak odległe są tu ludzkie mieszkania—zwracali się doń listownie, a on odpisywał im, iż tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie, modlić się będzie za nich i wzywa ich, by się z nim razem modlili. I w tej samej godzinie stan ich polepszał się i zdrowie im wracało!

To szczerą prawdą! Wiem o wielu takich wypadkach.

HANNA. To dziwne! A tyś mi nigdy o tem nie pisała?!

KLARA. Znam was przecież. Czyż miałam go narazić na wasze wątpliwości?— Jest tu wdowa po pastorze. Musisz ją zobaczyć. Mieszka tu w pobliżu nas. Nie mogę sobie wyobrazić istoty godniejszej czci. Od piętnastu lat była sparaliżowana, gdy Adolf tu przybył. A to już teraz dwadzieścia pięć lat temu. Dziś, co niedziela sama idzie do kościoła. A to prawie stuletnia, stuletnia staruszka.

HANNA. I on ją uleczył?

KLARA. Tak. Tylko swą modlitwą i tem, iż kazał jej modlić się z nim razem.—Najciekawsze jednak jest to, co się zdarzyło z Agatą Florwogen. Myśmy wszyscy byli przekonani, że ona już umarła. Wtedy Adolf wziął jej rękę w swoją, a drugą swą rękę położył na jej sercu. I ogrzał to serce i ona zaczęła znów oddychać i ożyła. Mieszka tu przy nas, razem z tą starą wdową po pastorze.

Do jutra mogłabym ci opowiadać podobne wypadki.

Promieniuje z niego blask cudowny. I w całym kraju, wśród tysięcy wie-

rzających niema równego jemu człowieka. A sława jego rośnie i rośnie z każdym dniem i on ani chwili już nie ma spokoju, a ja z nim razem.

HANNA. Więc i podczas mojego pobytu u was mogłoby się zdarzyć... coś podobnego temu, co mi opowiadasz?

KLARA. To jest tak pewne, jak pewne jest, że mnie tu widzisz leżącą w tem łóżku, niezdolną podnieść się, oprzeć na łokciach.

HANNA. Ale czemuż on ciebie nie może uleczyć tą swoją cudowną mocą? Czemuż on ciebie nie uleczył do tej pory?!

KLARA. To ma swoje przyczyny.

HANNA. Jakie? — Powiesz mi przecież?

KLARA. Nie. To jest... tak. Ale później. Proszę cię, otwórz okno; tu jest tak duszno, parno. Powietrza mi trzeba. — Więcej powietrza!

HANNA. Dobrze. Zaraz otworzę okno (idzie ku oknu, otwiera je).

KLARA. Powinienby już wkrótce wrócić. Tak długo dziś go niema. Gdybym już mogła mieć i wachać te kwiaty,

które on mi przyniesie.—Po deszczu musiało się cudownie rozkwiecić. Teraz jest już pewnie siódma, tak, prawie siódma godzina.

HANNA (patrzy na zegarek). Tak jest; siódma dochodzi.

KLARA. Od kiedy leżę tu, chora, wiem zawsze która godzina.—Świeży podmuch powietrza nie chce przyjść tu do mnie. Wiatr już pewnie ustał.—Dlaczego mi nie odpowiadasz?

HANNA. Nie słyszałam o coś się pytała. Nie mogę jeszcze przyjść do siebie po tem wszystkiem, com od ciebie usłyszała. Nie mogę ochłonąć z podziwu.

KLARA. Tak. To jest najprzedziwniejsze w całym naszym kraju, a może w całej naszej epoce.

HANNA. I cóż ludzie na to mówią, a szczególnie co mówią ludzie prości?

KLARA. Myślę, że gdzieindziej zrobiłoby to sto razy większe wrażenie. Ale tu właśnie wszyscy wyobrażają sobie, że musi tak być i inaczej być nie może.



HANNA. Mnie się zdaje, że cud zawsze jest cudem.

KLARA. Tak—w naszym pojęciu.

Ale tu w tej przyrodzie tkwi coś, co wyzywa nadzwyczajność, jaka tkwi w człowieku. Ta przyroda sama wznosi się tu po nad wszelką zwyczajną miarę. Noc trwa tutaj prawie przez całą zimę. Dzień trwa tutaj przez całe lato prawie i słońce unosi się wówczas nieustannie nad widnokrzem—dnem i nocą.

Czyś ty widziała już tutaj słońce w nocy? Na pół przysłonięte oparami morza, wydaje się trzy, czterykroć większem niż zwykle.

A przytem ten bajeczny koloryt nieba, morza, skał. Ta nadzwyczajna, cudowna gra barw! Od najognistszej czerwieni aż po najsubtelniejsze, najłagodniejsze odcienie bieli i żółtej barwy.

A cóż dopiero ta zorza północna na zimowem niebie. Wszystkie barwy jakby przygłuszone, a w tym rysunku łagodnym wieczny niepokój i wieczna przemiana.

I te wszystkie inne nadzwyczajności przyrody! Te miliony ptactwa morskie-

go, te wędrowniki ryb ciągnących gromadami kilkomilowej długości! Te prostopadłe skały wyrastające wprost z morza. I one nie są podobne do żadnych innych skał i gór na świecie, a szumiący ocean obmywa ich stopy.

A wyobrażenia ludzi odpowiadają zupełnie tej przyrodzie, są naturalne, ale bezmierne. Ich baśni i opowieści są takie, jakby zwalić jedną krainę na drugą, a ku tym krainom jakby tanecznym krokiem zbliżały się olbrzymie masy lodowcowych gór.

Śmiejesz się?

Posłuchaj kiedy tych opowieści i baśni. Raz tylko rozmów się z tymi ludźmi, a pojmiesz dlaczego oni tak kochają Adolfa i dlaczego Adolf jest człowiekiem wedle ich serca. Ich wiara stosuje się do tego, co ich otacza.

Adolf miał majątek wielki, gdy przybył tutaj. I rozdał wszystko pomiędzy nich. A oni uznali, że to jest całkiem naturalne, że to obowiązek, bo takie jest ich pojęcie o chrześcijaństwie!

Gdy on przewędrowawszy z trudem mil kilka, wejdzie w chatę chorego nę-

dzarza i modli się nad tym biedakiem, wówczas serca tych ludzi prostych otwierają się i światło wchodzi w te serca szeroką falą!

Nieraz w burzę straszną widzę go wśród morskich, rozdziczałych bałwanów; czasem jest tam w maleńkiej łódce, czasem ma z sobą oboje dzieci, bo od szóstego roku ich życia bierze je z sobą! Uczyni cud i potem dalej wędruje do innych chat rybackich i znów czyni cuda.

I oni w tem nic nadzwyczajnego nie widzą. Spodziewają się tego po nim. A nawet spodziewają się i więcej jeszcze!

Gdybym ja go czasem nie powstrzymywała, tobyśmy nic nie mieli, nie mielibyśmy z czego żyć, ani on, ani dzieci. O sobie już nie mówię, bo ja już jestem blizka końca...

HANNA. Ale w takim razie tyś go przecież nie wstrzymywała!

KLARA. Zdaje ci się. Ja go rzeczywiście powstrzymywałam; ale to nie pomagało. Zawsze musiałam coś nowego wymyślić, coś innego, bo inaczej

on mógłby się spostrzedz.—Ach! — To można było oszaleć!...

HANNA. Wymyślić—mówisz?

KLARA. W nim jest zupełny brak zmysłu rzeczywistości. On widzi tylko to, co chce widzieć. Dla tego też, na przykład, nigdy w żadnym człowieku nie dostrzeże nic złego. To jest, właściwie, on widzi to co jest złe, ale nie troszczy się o to.

«Ja biorę z człowieka tylko to, co jest w nim dobre» — to on zawsze powtarza. A w chwili, kiedy on mówi do nich, wtedy wszyscy są dobrzy, bezwzględnie dobrzy. Gdy on spojrzy na kogo swemi dziecięcemi oczami...

Czyż mogłoby być inaczej. Ale naturalnie nie wszystko ma dobry przebieg. On nas rujnuje dla tych ludzi.

I tak—sama możesz to sobie wyobrazić—jest to swojego rodzaju życie nad stan, tak w wielkich jak i w małych rzeczach. Gdyby to było możliwe, on by wziął wszystko—ostatnie co mamy—i wyniósłby i rozdał. Wszystko, nawet gdybyśmy jutro jeść nic nie mieli.

«Bóg zwróci nam to wszystko, bo On

nakazał nam tak czynić» — taka jest jego odpowiedź.

Gdy jest burza tak straszna, że najodważniejsi żeglarze nie odważyliby się wypłynąć na morze, nie mówiąc już o rybackich małych statkach, on puściłby się na wody w malutkiej łódeczce i to w każdym razie z swoim małym dzieciakiem razem przy sterze.

On w mgłach ciemnych szedł w góry i raz trzy dni błąkał się bez jadła i napoju. Szukano go i ledwie odnaleziono i sprowadzono tutaj. A on w następnym tygodniu chciał znów się puścić w tę samą drogę, bo chory czekał na niego.

HANNA. I on to wszystko wytrzymuje?

KLARA. On wszystko znieść może. A śpi potem jak zmęczone dziecko, śpi i śpi; a gdy zbudzi się i zje cokolwiek, wtedy znów na nowo zaczyna. On jest po za jakimkolwiek wyrachowaniem, bo jest zupełnie, ale to zupełnie bez winy.

HANNA. Ale jak ty go kochasz!

KLARA. To jedno jeszcze ze mnie zostało!—Ale to com przeszła z dziećmi, to mnie złamało.

HANNA. Z dziećmi?

KLARA. Tak. One cierpiały bardzo w tutejszych warunkach życia. Nigdy nic stałego, regularnego. Wieczny niepokój. Nigdy nie można niczego odmówić, nic odwlec, skoro on uzna, że tak być ma, a nie inaczej. Żadnej rozwagi, tylko natchnienie. Dorosły, a jeszcze nie umiały nic, ledwie trochę czytać i pisać.

Jaką ja walkę stoczyć musiałam, zanim mi się udało wyprawić je z domu. A potem tych pięć lat, które one przeżyły w dali—koszt ich kształcenia... To wyczerpało ostatnie moje siły, i teraz już po wszystkim...

HANNA. Moja biedna Klaro!

KLARA. Ty nie wyobrażasz sobie chyba tego? Chyba nie masz zamiaru litować się nademną? Nademną, która tę wielką podróż życiową odbyłam z człowiekiem najlepszym w świecie, z człowiekiem najczystszej woli!

Żyje się krócej w takich warunkach,

to prawda; ale nigdy wszystkiego razem złączyć nie można.

Ale zamienić się z kimkolwiek? Nigdy!

HANNA. Więc on złamał was wszystkich?!

KLARA. Tak—on to uczynił.—To jest nie wszystkich. Tego mu nie wolno było. On nie ma takiej mocy!

HANNA. Co? On nie ma tej mocy? Skoro czyni cuda i zawsze z tego czysto i cało wychodzi?

KLARA. Czy ty nie sądzisz, że właśnie ta jego moc czynienia cudów pochodzi stąd, że on nie jest wszechmocny.

HANNA. Przestraszasz mnie! -- Jak ty to rozumiesz?

KLARA. Myślę, iż tak samo było z prorokami, tak u żydów jak i u pogan. Oni zdolni byli czynić więcej niż inni ludzie w pewnej ściśle określonej sferze swego działania, dlatego, ponieważ w innych kierunkach brakło im tej siły i mocy. Tak ja to sobie wyobrażam.

HANNA. Ale czy ty w to wierzysz?



KLARA. Wierzyć?... Cóż ty pod tem rozumiesz? — My obie, moja siostró, pochodzimy ze starego, nerwowego rodu wątpiących. I mogę to powiedzieć śmiało: z inteligentnego rodu.

Podziwiałam Adolfa. On był inny niż wszyscy, był lepszy niż wszyscy inni. Podziwiałam go, bo go kochałam. Ale to, co ja w nim podziwiałam, to nie była wiara jego, to było coś, co tkwiło w nim samym i jemu tylko było właściwem.

Ale o ile moja wiara idzie równolegle z jego wiarą — tego ja sama nie wiem.

HANNA. Ty nie wiesz?

KLARA. Ja zawsze byłam tak przemęczoną, że nigdy czasu nie miałam, by zastanowić się nad tem i rozjaśnić to sobie. Na to trzeba czasu. A ja zapracowywałam się, aby nam życie z dnia na dzień zapewnić. I to wszystko zła-mało mnie przedwcześnie. I poczułam, że już nie zdolna stanąć wobec tych wielkich problematów.

Ledwie mogę uświadomić sobie, co jest słusnością, a co niesłusnością.

W wielkich zasadniczych kwestjach rozumie się, wiem co jest prawe, a co nieprawe, ale w tych subtelnym delikatnym odcieniach?

Czynię co mogę. I tak samo jest z wiarą. Ja temu już nie podołam.

HANNA. Czy on wie o tem?

KLARA. On wie wszystko. Czyż ty myślisz, że ja przed nim ukrywam cokolwiek?

HANNA. A czy on nigdy nie próbuje doprowadzić cię do tego, byś wierzyła w to, w co on wierzy?

KLARA. Nie, nigdy! On twierdzi, iż wszystko co dotyczy wiary, jest w ręku Boga. My nic nie możemy uczynić ponad to, byśmy zawsze żyli w prawdzie. I ostatecznie uwierzemy, czy tu czy na tamtym świecie. O, on to rozumie!

HANNA. Ale on pracuje przecież nad rozszerzeniem wiary?

KLARA. Na swój sposób. Nigdy nie działa surowością ani przymusem. On jest tak oględny i wyrozumiały dla wszystkich. Rozumiesz?—dla wszystkich. O,—on jest nieporównany.

HANNA. Ty widzisz go zawsze takim, jakim go widziałaś w dniach pierwszego szału, mimo to, że oczy twoje postarzały się...

KLARA. ...mimo to, że oczy moje postarzały się.

HANNA. Ale wiary w jego cuda nie masz.

KLARA. Jak możesz powiedzieć coś podobnego! W nic w nim nie wierzę silniej i bardziej i głębiej, niż w tę jego siłę czynienia cudów.

HANNA. Jeśli go nie chcesz puścić od siebie na morze w burzę straszliwą i jeśli nie możesz uwierzyć, iż wszystko co rozdane zostanie przez was ubogim, zwrócone wam będzie stokrotnie, choćbyście oddali ostatnie co macie — w takim razie nie masz tej wiary prawdziwej.

KLARA. Zanim przyznam ci słuszność... tak. To ci muszę powiedzieć. Właśnie w tem jest cała moja siła.

HANNA. Dobrze. Ale to nie jest siła wiary.

KLARA.—Nie i nie. Jeśli w tem jest jakakolwiek sprzeczność,—dobrze. Cóż

mnie to obchodzi. Wszyscy mamy sprzecznosci w sobie, tylko on ich nie ma. Zresztą, to ci muszę powiedzieć, że takie puszczanie się na wzburzone morze i to z dzieckiem jeszcze, jest czemś więcej niż wiarą, jest wyzywaniem Boga.

HANNA. A mnie się zdaje, iż cud musi nastąpić bez względu na to, czyje życie jest w grze, czy nasze czy kogokolwiek innego.

KLARA. Ale umyślnie samemu rzucać się w niebezpieczeństwo życia!

HANNA. Jeśli to jest uczynione dla tego, by nieść pomoc innym, wtedy nie mogę tego nazwać wyzywaniem Boga.

KLARA. Przestań Hanno, proszę cię. Ja tego pojąć nie mogę. Ja wiem tylko, że wtedy, gdy on dzieciom swoim zabiera środki do życia, aby je rozdać nędzarzom i biednym, i wtedy gdy on sam chce się puścić wśród mgły na wędrówkę w góry, albo w łódce na rozszalałe morze—wtedy *ja* staję mu w drodze.

I czynię wszystko,—ale wszystko co tylko mogę i wszystko, co jestem w stanie wymyślić, aby tylko przeszkodzić mu i nie dopuścić go do tego.

Dajmy na to, że on chciałby teraz!... Ja od wielu miesięcy nie mogę stanąć na nogach,—ale wtedybym stanęła. Potrafiłabym. Jestem pewna. I wtedy ja cud uczynię. Bo ja go kocham, jego i jego dzieci. (Długa pauza).

HANNA. Może chcesz się czem odświeżyć, wzmocnić?

KLARA. Daj mi trochę kolońskiej wody.—Tu, skronie mi natrzyj i daj mi trochę powąchać.—Tej samej co wczoraj.—Ale śpiesz się!—Nie możesz korka wyciągnąć?—Tam leży korkociąg, tam, tam!—I otwórz drugie okno także.

HANNA. Dobrze, dobrze.

KLARA. Dziękuję ci. Gdyby ziemia nie była tak wilgotna po tej strasznej słoście, to chciałabym trochę pobyć na dworze.—Nie możesz korka wyciągnąć?

HANNA. Zaraz.

KLARA. Wśrubuj głębiej korkociąg. Ale nie za głęboko. O, widzisz tak!—Chodź tu.—Ach, jaśmin!

HANNA. Jaśmin? Skądżeby tu wziął się jaśmin?

KLARA. Jaśmin, jaśmin!—To on jest. Słyszę go. To on!—Bogu dzięki. Już zaraz jestem spokojna—spokojna... Jak to dobrze. To... on... jest!

SANG wchodzi.

## Scena II.

SANG. Dzień dobry raz jeszcze. Dzień dobry, kochana Hanno! Jak to dobrze, że jesteś tu z nami... Tak. Jak to dobrze, żeś z nami! Takich poranków pełnych woni i ptaszęcego śpiewu nie macie chyba w Ameryce. Tego niema nigdzie na świecie!

KLARA. A moje kwiaty?

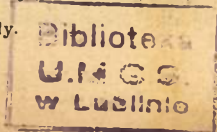
SANG. Wiesz Klaro, co mi się dziś stało?

KLARA. Czyś je może dał komu?

SANG. Ależ nie! Ha, ha, ha!—Tym razem nie, jak mówi nasz Tordenskjold.

Czekaj, niedobra! Takeśmy łajali i gniewali się na tę długotrwałą, straszliwą slotę i baliśmy się osunięcia gór

Ponad siły.



i lawiny i innych nieszczęść, a tymczasem ta ślota nie spowodowała nic złego, a za to stworzyła cud piękna i wspaniałości.

Dziś kiedym nareszcie zobaczył słońce i wyszedł na przechadzkę, ujrzałem wspaniałe bogactwo kwiecica. Dostałem się tam w górze w taką pełnię woni i barw...

Wiesz,—przyszedł na mnie nagle nastroj dziwny; wydało mi się, iż grzechem byłoby iść dalej i deptać po tych kwiatach, które stały wokoło i czyniły mi taką radość. Obszedłem wokoło kwieciłą łąkę, znalazłem ścieżkę i idąc nią patrzyłem w wilgotne oczy kwiatów. Jaka masa ich, jaki ścisk! A w tym ścisku jaki dziwny popęd samozachowawczy...

Nawet i najdrobniejsze siliły się, aby wyciągnąć swe szyjki ku słońcu.—Wygłodniałe, żądne życia! A niektóre tak się wcześniej wydostały, tak się pośpieszyły w rozwoju, że posądzam je, iż wysłały swój pyłek w świat, w dziewosłęby, zanim jeszcze dzień się skończy.



Nawet kilka szerszeni już widziałem, a one nie wiedziały, co z sobą zrobić, w którą stronę się zwrócić w tej atmosferze pełnej cudownej woni. Bo każdy tysiąc tych kwiatów woniał cudniej i upajał silniej niż drugi, a tych tysięcy były tysiące.

Czyżby wśród tych milionów, w tej masie nie było indywidualności?—pytałem się.—I nie mogłem zdecydować się i zerwać choćby jeden tylko kwiat. Ale zato przyniosłem ci coś lepszego.

KLARA (dając w czasie słów Sanga znaki ręką siostrze). Znalazłaś?

SANG. Chcę dziś spróbować, czy mi się uda otworzyć kielich.

KLARA. Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć?

SANG. Wprawdzie ty masz o mnie tak dobre pojęcie, że nie wierzysz, abym mógł cokolwiek ukryć przed tobą, a jednak ja to umiem!

KLARA. Już od dłuższego czasu zauważyłam, że...

SANG. Zauważyłaś rzeczywiście? Bo tym razem milczałem, potrafiłem milczeć. Ale jeśli nie kłopotalem się, nie trosz-

czyłem się twoją chorobą tak jak inni, to miałem szczególną przyczynę po temu.

KLARA. Ale jaką przyczynę?

HANNA. Powiedz, — wszak widzisz, jak to ją rozdrażnia.

SANG. Będę się śpieszyć. Tylu ludziom pomogłem, a przecież jej pomódz nie mogę, bo nie jestem w stanie modlić się z nią razem. Ona sprzeciwia mi się.

A ja bezsilny jestem jeśli chory nie modli się razem ze mną. Rozumie się, jeżeli tylko umie się modlić.

Więc napisałem do dzieci, żeby wróciły do domu, a wczoraj wieczór, kiedy tak wcześnie wyprawił je na górę, powiedziałem im dlaczego je tu sprowadziłem. Powiedziałem im, żeby się dobrze wyspały, bo dziś razem modlić się będziemy przy łóżku matki.

KLARA. Dobry! dobry!

SANG. Otoczymy cię, owiniemy cię łańcuchem modlitwy. Jedno z dzieci stanie u stóp twoich, drugie u głowy, a ja tuż przed tobą. I nie przestaniemy, dopóki nie zapadniesz w sen. I nie prze-

staniemy. Tak jest, nie przestaniemy! A potem będziemy to powtarzać dopóty, dopóki nie wstaniesz i nie zaczniesz chodzić.

KLARA. Dobry!...

HANNA. A cóż dzieci na to?

SANG. Ach, gdybyś je była widziała! Były tak wzruszone... Zbladły; były tak białe jak ta kapa i tylko spojrzały sobie w oczy.

Ale zrozumiałem je. Chciały być same.

Widzę, jak to i ciebie także wzrusza. Zamykasz oczy. Może chcesz, byśmy cię zostawili samą? Tak, będziemy teraz mieli gości,—tak, dużo gości. Trzeba się przygotować.

— Która godzina?

HANNA. Siódma już minęła.

SANG. To nie może być! Oneby tu już były. Pewnie zegarka nie uregulowałaś wedle naszego czasu.

HANNA. Nie;—nie zapomniałam o tem.

SANG. W takim razie twój zegarek źle chodzi. Dorosłe dzieci, które chcą modlić się przy łóżku swej matki, mia-

łyby zasnąć? Czy możesz sobie coś podobnego wyobrazić?

HANNA. Pójdę na górę. Zobaczę, co się z nimi dzieje.

SANG. Ach nie, nie, nie! W tych ostatnich chwilach one chcą być same. Ja to rozumiem, ja to znam.

HANNA. Nie przeszkodzę im. Tylko zajrzę.

SANG. Ale bardzo ostrożnie.

HANNA wychodzi.

### Scena III.

SANG. Jak to dobrze, że ona taka czynna!

KLARA. Dobry mój!

SANG. Jest coś bolesnego w twoim głosie.

Teraz musisz mieć nadzieję. Nigdy, — mówię ci, — nigdy w życiu nie byłem tak pewny siebie. A ty wiesz, co mi daje to poczucie siły.

Klaro! Moja droga Klaro! (klęka przy jej łóżku).

Zanim połączymy się w tej wielkiej

modlitwie, pozwól mi, Klaro, bym ci podziękował.

Dziś Bogu za ciebie dziękowałem wśród tej cudnej wspaniałości wiosny. Nieskończona radość była we mnie i wokoło mnie. Przed mojem okiem stało wszystko, cośmy razem wspólnie przeżyli.

Wiesz—wierzę, iż kocham cię tem silniej, tem głębiej, dlatego, że nie we wszystkim podzielasz moją wiarę. Bo teraz jesteś coraz bardziej i bez przerwy w moich myślach. Twoje oddanie się mnie leży w twojej istocie, w twojej woli—i w niczem innem.

A że twą prawdę i otwartość zachowałeś przy moim boku, z tego właśnie jestem dumny.

Ale gdy pomyślę, że ty—nie wierząc tak jak ja—przecież jednak życie swoje mnie przyniosłeś w ofierze...

KLARA. Adolffie!

SANG. Ręką zamykam ci usta, skoro mówisz. Teraz moja kolej.

Wielkie jest to, coś ty uczyniła. My, inni, my dajemy naszą wiarę, ale ty, ty oddałaś życie twoje! Jak wielkie

musi być zaufanie twoje we mnie!  
A jak wielką jest miłość moja dla ciebie!

Za każdym razem, gdy zapał mój przerażał cię i drżałaś w lęku o mnie, lub o przyszłość naszych dzieci i nie byłaś w stanie rozważyć spokojnie, coś czyniła, — wiem, iż wtedy sił nie miałaś już dosyć, nie stało ci ich już, aby czynić lepiej i naprawić to.

KLARA. Nie. Nie miałam sił.

SANG. Ja jestem temu winien. To ja nie umiałem ciebie oszczędzać!

KLARA. Adolfie!

SANG. Wiem, że tak jest. Tyś mi jedno za drugim niosła w ofierze. Tyś dla mnie się poświęciła. Ale nie na podstawie nakazu swej wiary, albo nadziei nagrody tu, czy tam. Nie, li tylko z miłości. Jakże wielką jest miłość moja dla ciebie!...

Dziś właśnie chciałem ci wypowiedzieć to wszystko. I gdyby Hanna nie była wyszła, byłbym ją prosił, aby nas na chwilę samych oboje zostawiła.

Dziękuję ci. Dziś jest twój wielki dzień.

I wkrótce już przyjdą tu dzieci. Pozwól mi ucałować cię tak jak w najpierwszym dniu naszym!

Pauza.

HANNA wchodzi.

### Scena IV.

SANG. Więc cóż?

HANNA. Siódma godzina minęła.

KLARA. Wiedziałam o tem.

SANG. Więc rzeczywiście już minęła?

A cóż dzieci?

HANNA. Spały.

SANG. Spały?

KLARA. Wiedziałam o tem.

HANNA. Eljasz spał w ubraniu. Położył się na łóżko, ale nie chciał spać, chciał tylko trochę spocząć. A jednak przecież zasnął. Rachela spała z rękami złożonemi na kółdrze. Nic nie słyszała.

SANG. Za dużo od dzieci wymagałem. Że też już nigdy od tego się nie odzwyczaję.

HANNA. One przecie prawie od czterdziestu ośmiu godzin nie spały wcale, to



jest od chwili... kiedym się z niemi spotkała.

SANG. Ale cóż Bóg chciał przez to osiągnąć, iż właśnie dziś dał mi taką siłę i uczynił mnie tak pewnym siebie? Muszę spróbować, czy potrafię dojść przyczyny. (Idzie ku drzwiom).

Wybaczcie na chwilę moje kochane. Dlaczego dziś właśnie?... (wychodzi).

## Scena V.

KLARA. Czyś ty je zbudziła?

HANNA. Rozumie się. Czy wiesz co — jak mnie się zdaje — stoi na przeszkodzie?

KLARA. Mój Boże! Wiem! Ale taki lęk na mnie przychodzi.

HANNA. Czy da się co zrobić?

KLARA. Nie! Ja sama muszę próbować złagodzić to. Ach... było wczoraj coś w ich oczach, co spostrzegłam. A dziś dopiero rozumiem, wiem co.

HANNA. One nie mają już wiary swego ojca.

KLARA. One nie mają już wiary swego ojca. — Jak one musiały walczyć z so-

ba; co one musiały wycierpieć... Biedactwa! One, które go cenią i kochają nad wszystko w świecie!...

HANNA. Dlatego też były wczoraj tak ciche.

KLARA. I za najmniejszym powodem tak się rozrzewniały! I dlatego też Rachelę pisała do ciebie. Ktoś musiał przecież być tutaj,—a ona sama nie miała odwagi.

HANNA. Zdaje się, że masz słuszność. Jak one musiały walczyć przeciw temu! Prawda?

KLARA. Biedne, biedne dzieci!

HANNA. Eljasz nadchodzi.

KLARA. Jest już tu?

ELJASZ (wchodzi, rzuca się u łóżka matki na kolana, zasłaniając twarz obydwoma rękami) Matko!

KLARA. Tak, tak! Wiem wszystko!

ELJASZ. Wiesz wszystko?! -- Nic gorszego przyjść nie mogło!

KLARA. Nic gorszego...

ELJASZ. Kiedy mi wczoraj wieczór powiedział, że dziś o siódmej...

KLARA. Nie mów! Ja tego przenieść nie będę mogła!

HANNA. Twoja matka tego nie przemiesie.

ELJASZ. Nie, nie! Wiedziałem, że to przyjąć musi! Tak czy owak. Musiało tak się stać.

HANNA. Czy możesz go wysłuchać?

KLARA. Muszę wiedzieć wszystko! Powiedz mi...

HANNA. Co?

KLARA. Eljaszu! Czy ciebie już tu niema?

ELJASZ. Jestem matko!

KLARA. A Rachela?

ELJASZ. O co pytasz, matko?!

KLARA. Gdzie jest Rachela?

ELJASZ. Właśnie wstała. Czuwała ze mną aż do północy. Ale potem już wytrzymać nie mogła.

KLARA. Dzieci moje, jak, — ach jakże to wszystko przyszło na was?

ELJASZ. Iżeśmy stracili wiarę naszego ojca?

(Sang wchodzi).

KLARA. ...Iżeście stracili wiarę waszego ojca — dzieci?

## Scena VI.

SANG. Straciliście waszą wiarę?— Mój syn?! Tyś stracił twoją wiarę?

HANNA. Klaro, Klaro! Co ci jest?

SANG (śpieszy do chorej, kładzie na nią obie swe ręce). Już przemija. Paroksyzm nie przyszedł. Bogu dzięki!

KLARA. Prze... mi... ja... Ale—trzymaj ręce-twe-na-mnie!—Trzymaj!

SANG. Będę trzymać.

KLARA. I nie dopuść - abym się -roz-  
płakała!--Ach!

SANG. Nie, nie! Nie płacz! (pochyla się nad nią i całuje ją) Bądź silna, Klaro! — O tak! Nie wolno ci się martwić! Pomyśl tylko, przypomnij sobie, jak one były zmartwione. Chciały tylko nas oszczędzić, walcząc w sobie i bolejąc. A czyż my nie powinniśmy także ich oszczędzać?

KLARA. Tak.

SANG. Dlatego też przyszedł na ciebie ten atak. Musimy to mieć na myśli, bo inaczej moglibyśmy łatwo się unieść i stać się dla nich gorzkimi.—

Szczególnie ja w mym zapale. Gdzie jest Rachelą?

HANNA. Przyjdzie zaraz. Ona czuwała razem z Eljaszem do północy.

SANG. Kochane dzieci! Ale jak mogliście tylko... Nie, nie. O niczem nie chcę wiedzieć! — Tyś zawsze był uczciwy. Jeśliś tak postąpił... to dlatego, bo musiałeś.

ELJASZ. Musiałem. Ale mimo to, straszne to było.

SANG. Wiarę twoją zdobyłeś przy mnie łatwo. Przecież jestem człowiekiem, rządzącym się tylko uczuciem. Może być, iż to co się dzieje w tobie, jest początkiem nowej wiary, której już nie będziesz mógł stracić.

ELJASZ. Ojczy! Sam sobie wydaję się zbrodniarzem, a przecież nim nie jestem!

SANG. Czy myślisz, synu, że choć na chwilę zwątpiłem o tobie. Ale niechaj to uniesienie, które mnie porwało w pierwszej chwili, nie przestrasza cię. To stąd przyszło, że za silnie byłem przekonany o tem, iż wy wierzycie. To

też trzeba mi będzie trochę czasu, zanim...

Nie, nie! Przebacz mi Eljaszu! Tyś temu nic nie winien!

RACHELA wchodzi, nieśmiało cofa się kilka kroków w głąb, ale Sang ją ujrzał.

SANG. Rachelo! Moja córko!

RACHELA zbliża się do niego i pada przed nim na kolana.

SANG. Za czasów, kiedyś była zupełnie malutka, nauczyłaś się wierzyć mnie więcej niż wszystkim księżkom...

Jakże to mogło się stać? Jeśli tę wiarę w tobie zabito, to ja muszę wiedzieć, jakimi sposobami to się stało! — Bo że ktoś mógł mi ciebie wydrzeć...

RACHELA. Nie, ojczy! Tobie nikt mnie nie wydarł!

SANG. Przebacz! Nie chciałem sprawić ci przykrości. Chodź do mnie!

RACHELA rzuca mu się na szyję.

SANG. Przyrzekam wam, dzieci moje, iż odtąd już o tem nie będziemy mówić. — Ale przedtem chciałbym przecież dowiedzieć się — i nawet nie możecie dziwić się temu, — jak to właściwie się stało?

ELJASZ. Gdybyś nawet dniami całymi mówił ze mną o tem, ojcze, nie potrafiłbym ci wszystkiego wypowiedzieć.

SANG. Nie. Tego nie potrafię. O wierze nie potrafię rozprawiać.—Nie umiem tego wcale.

ELJASZ. Ale wysłuchać mnie musisz!

SANG. Jeżeli ci to ma dać ukojenie, to co innego. W takim razie musisz się wypowiedzieć, a ja chcę tego także. Ale czy nie możesz mi opowiedzieć o tem krótko? bardzo zwięźle?— Co was do tego doprowadziło, co was przekonało,—tak, przekonało,—moje dzieci?

ELJASZ. Mogę ci na to odpowiedzieć zupełnie krótko. Rachela i ja przekonaliśmy się, iż chrześcijanie nie są takimi, jakimi ty ich nam przedstawiłeś.

SANG. Ależ dzieci!...

ELJASZ. Tyś wysłał nas do najlepszych jakich znałeś. I oni z pewnością byli najlepsi. Ale Rachela i ja bardzo prędko przyszliśmy do przekonania — a ona była pierwsza, która to wypowiedziała — iż na całym świecie jeden jest tylko prawdziwy chrześcijanin — nasz ojciec.



SANG. O nie, dzieci!

ELJASZ. Gdyby inni byli mniej albo więcej do ciebie podobni, gdyby choć cząstkę mieli w sobie tego, co ty masz, wtedy z pewnością nie odczulibyśmy takiego rozczarowania. Ale oni są czemś zupełnie innym, — absolutnie odmiennym.

SANG. Jak to rozumiesz?

ELJASZ. Ich chrześcijaństwo jest ugodą, kompromisem.—W życiu i w teorii uginają się w pokorze przed tem, co istnieje; to znaczy, przed tem, co istnieje w nich, naokoło ich i w współczesności. Przed instytucjami, przesądami, zwyczajami, przed ekonomicznymi i innymi stosunkami i warunkami. Potworzyli sobie w swej nauce furteczki, tak, iż zawsze przystosować się mogą do tego, co istnieje.

SANG. Czyś ty nie za surowy?

ELJASZ. Ty wyszukujesz to, co jest najidealniejsze i za tem idziesz. I w tem jest cała różnica.

SANG. Ale cóż was ta różnica obchodzi, moje kochane dzieci?

ELJASZ. Ta różnica właśnie doprowadziła nas do tego, żeśmy zaczęli rozmyślać. Czyż możesz się temu dziwić, ojcze?

SANG. Myślcie, ile chcecie, bylebyście nie sądzili.

RACHELA. Nie. Myśmy chyba nie sądzili. A wiesz dlaczego nie? Bośmy przekonali się, że ich nauka jest tak naturalną w ich pojęciu, jak twoja nauka w twojem.

SANG. A tak...

ELJASZ. Ale cóż jest chrześcijaństwem? Bo to, co oni mają, nim chyba nie jest?

SANG. Dajmy na to nawet, że nie jest. Ale cóż w tem jest złego? Jeśli tylko tak czynią jak rozumieją przepisy wiary?

RACHELA. Mój ojcze kochany, czy chrystjanizmem jest to, co z pośród milionów jeden tylko może osiągnąć?

ELJASZ. Czyż inni muszą na zawsze zostać partaczami?

SANG. Kogo ty nazywasz chrześcijaninem?

ELJASZ. Tylko tego nazywam chrześcijaninem, kto od Jezusa przejął ta-

jemnicę doskonałości i ku tej doskonałości dąży we wszystkim...

SANG. To wyjaśnienie jest piękne. Ma w sobie dużo uroku. Tyś po matce wziął nieco jej subtelnego rozsądku.— O, to było zawsze mojem najpiękniejszym marzeniem, że ty kiedyś... Nie, nie, nie! Przyrzekłem wam dzieci, że się nie uniosę. I chcę mego przyrzeczenia dotrzymać! Tyś powiedział... Tak; to jest prawda: doskonałość!

Ale mój synu, czyż nie można pozostawić każdemu swobodę próby zostania chrześcijaninem, nie nazywając go zaraz partaczem? Czyż właśnie tu wiara nie jest potrzebna? Zasługa jednostki przeciw słabości milionów?

ELJASZ. Tyś powiedział!—Jeśli tylko z wszystkich sił swoich dążymy,—wtedy wiara jest przecież potrzebna.

SANG. No, rozumie się, że...

ELJASZ. Ale tak działa i postępuje jeden tylko człowiek, a tym człowiekiem ty jesteś mój ojciec. Inni... Nie, nie obawiaj się. Nie wypowiadam się tu, aby oskarżać drugich. Jakież prawo miałbym po temu? Inni, albo targują się,

dopóki nie wytargują tyle, ile mogą przyjąć z całym spokojem duszy, albo też próbując się w czynie i wiedzy — paczą się! Tak jest. Paczą się — to najlepsze określenie.

RACHELA. Tak,—tak jest. I wówczas, kiedym to spostrzegła, mój ojciec, powiedziała do Eljasza: «Skoro te ideały dziś jeszcze tak mało mogą się stosować do warunków bytu i właściwości ludzkich, w takim razie widocznie nie pochodzą one od Wszechwiedzącego...»

SANG. I tyś to powiedziała?...

ELJASZ. I od tej pory nie mogliśmy się pozbyć wątpliwości poruszonych przez Rachelę. I zaczęliśmy badać. Szliśmy za tymi ideałami wstecz, w ich historycznym rozwoju i po za naszą epokę nie mogliśmy wyjść.

SANG. Wiem o tem, moje dzieci.

ELJASZ. Już dawno, znacznie wcześniej głosili i zapowiadali je marzyciele.

SANG. ...marzyciele Wschodu i Grecji w czasach powszechnego zrozpaczenia, gdy najlepsi nawet mieli w sobie już tylko tęsknotę, pragnienie przedostania

się w krainę, kędy wszystko odnowione byćby miało. Tam... tam, do tej krainy!.. Wiem o tem moje dzieci.

Więc tu potknęłyście się? — Boże, mój Boże!

Jakby ta nowa kraina, nowa tysiącletnia kraina nie była tak samo prawdą, chociaż jest snem, odwiecznym, prastarym snem Wschodu!

Czyżby odkrycie tej krainy tak długo na siebie czekać kazało, iż słabe dusze dążenie ku niej śmia nazwać snem, który się nigdy nie ziści,—a wymagania, od których zdobycie tej krainy zależy, śmia nazwać niemożliwymi do osiągnięcia ideałami? I czegoż to dowodzi?

To niczego nie dowodzi przeciw samej nauce, choć może jest argumentem przeciw tym, co ją głosili.—Tak.—Duzo mówi przeciw tym, co ją ogłosili!

Nie chcę więcej o nich mówić. Chcę wam tylko powiedzieć, co było ze mną. Widziałem, iż chrześcijaństwo upadło, pelzało tuż przy ziemi, bardzo ostrożnie omijając wszystkie wzniesienia i wzgórza.

I pytałem siebie czyli to dzieje się dlatego, że chrześcijaństwo rozpadłoby się w drobiny, gdyby je na nogach postawić? Czy rzeczywiście chrześcijańskie ideały są niemożliwością? Czy też może jest to tylko winą ludzi, bo nie mają odwagi wznieść ich z upadku?

I gdyby jeden tylko człowiek odważył się i spróbował, czyby za jego przykładem nie poszły tysiące i również próbować nie zaczęły?

I poczułem jasno, że muszę być tym jednym i pierwszy uczynić próbę.

I tak,—jak sądzę,—każdy powinien uczynić i każdy winien próbować. Bez tego nie jest on wierzącym.

Bo wierzyć, to znaczy wiedzieć, doświadczyć. Dla wiary nie masz niemożliwości! Pokaż twą wiarę!

Czyż ja to mówię, aby się tem pysznić? Nie, przeciwnie, aby się oskarżyć.

Bo choć tak wysoko budowałem i dużo łaski doznałem, kto wie, czy także—właśnie w tej chwili—nie staję się odstępcą Boga.

Czyż nie uważałem za niemożliwość

uratować ją, tę tutaj kobietę, sam, swojemi tylko siłami? Czyż nie zwątpilem i nie wyczekiwałem cudzej pomocy?

Dla tego też wziął Bóg moc ode mnie. Dlatego też Bóg dozwolił, iżbyście wy także potknęli się i upadli przy «tem co możliwe» i przyszli tu do mnie, aby mi to opowiedzieć.

Bo tak miała być przygotowaną godzina Jego. A teraz chcę wam wszystkim pokazać, co rzeczywiście jest możliwe!

O,-- przyszedłem tutaj i niezrozumiałem tego. A teraz rozumiem. Sam muszę tego dokonać! Otrzymałem rozkaz Jego, to też mogę, jestem w sile rozkaz ten wykonać.

Dlatego też dziś przyszła na mnie łaska wielkiego przygotowania. Wszystko się łączy.

Czy słyszysz mnie, Klaro? Nie *ja* jestem tym, co dalej mówi. Przez moje usta mówi wielka pewność, którą mam w sobie, a ty wiesz skąd ta pewność pochodzi? (klęka przy łóżku).

Klaro, moja ukochana przyjaciółko, przecz byś ty nie miała być Bogu rów-



nie miła, jak każdy inny, co szczerze jest wierzący? Jakby Bóg nie był ojcem wszystkich!...

Boża miłość nie jest przywilejem wierzących. Ich przywilejem jest czuć w sobie miłość ku Bogu i nią się radować — i w jej imię czynić możliwem niemożliwe.

O moja cierpliwa i wierna! Pozostawiam cię, by próbę wykonać (wstaje).

Tak! By próbę wykonać!

Idę do kościoła, dzieci moje. Chcę być sam jeden, samotny. I nie wyjdę prędzej z kościoła zanim z rąk Bożych nie otrzymam tego, o co Go będę błagać: snu dla waszej matki, a po tym śnie zdrowia, iżby powstała z łoża i chodzić mogła wraz z nami.

Nie bójcie się! Czuję, iż modły moje będą wysłuchane. On nie da mi tej łaski natychmiast, bo tym razem jam wątpił. Ale będę miał wytrwałość i błagać będę surowego dobrego Pana.

Bądźcie zdrowi!

(Kłeka przy łóżku Klary i modli się chwilę).

Bądźcie zdrowi!

(Całuje Klarę; ona trwa w nieruchomości. Sang powstaje).

Dziękuję wam, dzieci moje. To wyście mi dopomogły, więcej niż ktokolwiek mógł przeczuć.

Teraz idę i sam będę dzwonić na swoją modlitwę. Gdy pierwszy dźwięk dzwonu dojdzie waszych uszu, wiedzcie, iż od tej chwili modlić się zacząłem o zdrowie dla waszej matki!

HANNA mimowolnie, bezwiednie otwiera przed nim drzwi.

SANG wychodzi.

HANNA. To jest... To... (wybuch płaczem).

ELJASZ. Ja muszę widzieć... muszę zobaczyć, jak będzie wchodzić (wychodzi).

RACHELA (u przodu sceny). Matko, ach matko!

HANNA. Nie mów do niej! Ona patrzy na ciebie wprawdzie, ale nie mów do niej!

RACHELA. Mnie taki lęk bierze straszny!

HANNA. Stąd gdzie stoję, widzę twego ojca.—Już zaraz wejdzie do kościoła. — Chodź tu!

RACHELA. Nie!... Nie! Ja tego nie wytrzymam. Mnie taki lęk bierze! Matko!... Patrzy na mnie, ale nic nie odpowiada. Matko!

HANNA. Cicho, Rachelo.

Dzwon się odzywa.

RACHELA (pada na kolana. nagle wybucha, ale przygłuszonym głosem). Boże! — Ciotko!

HANNA. Co się stało?

RACHELA. Matka śpi.

HANNA. Śpi?

RACHELA. Matka śpi!

HANNA. Doprawdy?

RACHELA. Muszę pójść do Eljasza! Muszę to Eljaszowi powiedzieć! (wychodzi).

HANNA. Ona śpi! — Jak dziecko! — Boże mój! (pada na kolana).

Daje się słyszeć grzmot nieustanny, który wzrasta ustawicznie, — staje się coraz silniejszym, — wzrasta strasznie. Zewnątrz krzyk.

Dom trzęsie się.

Huk grzmotu rośnie.

RACHELA (za sceną). Góra spada na nas! (wpada do pokoju, krzycząc). Góra spada na kościół! Na nas! Wprost na kościół! Na nas! Na ojca! na nas! Stać się, dymi, — staje się zupełnie ciemno. Ach! (przytula się do ściany i odwraca twarz).

ELJASZ (za sceną). Ojcze! Ojcze! Ach!

HANNA (pochylona nad łóżkiem siostry). Teraz nadchodzi! Teraz nadchodzi!

Grzmot doszedł do kulminacyjnego punktu najwyższego huku. Potem stopniowo cichnie.

Znów słyszeć się daje głos dzwonu po przez huk grzmotu spadającej lawiny.

HANNA (podnosząc się). Dzwoni! Dzwoni! Żyje!

RACHELA. Żyje!

ELJASZ (za sceną). Ojciec żyje! (bliżej) Kościół stoi nietknięty! (wchodzi). Kościół stoi nietknięty. Ojciec żyje. Tuż przed kościołem lawina skręciła w bok, — zwróciła się na lewo. — Żyje.— Dzwoni. — Boże mój! (Pada na kolana u łóżka matki).

RACHELA (zbliża się). Eljaszu! Matka?...

HANNA. Śpi.

ELJASZ (zrywa się). Śpi?

RACHELA. Tak. Śpi.

Dzwon dzwoni ustawicznie.

HANNA. Śpi tak spokojnie.

---

## AKT II.

Mała izba o drewnianych ścianach.

W głębi drzwi do małego przedpokoju na oścież otwarte. Widać ciasny, zamknięty naga skalistą ścianą pejzaż.

Po prawej stronie drzwi.

Po lewej duże okno.

Po nad drzwiami wchodowemi połączany krucyfiks pod szkłem.

Z przodu po lewej sofa, przed nią stół, na którym leżą książki.

Pod ścianami krzesła.

### Scena I.

ELJASZ wchodzi z głębi szybko, niespokojny, w płóciennych spodniach i lekkich trzewi-  
kach. Stoi chwilę spokojnie, podchodzi ku oknu i nasłuchuje. Słysząc dokładnie idący z dali głos mężki, śpiewający pieśń kościelną. Eljasz jest bardzo wzruszony.

RACHELA (wchodzi cicho przez drzwi zamknięte z prawej strony, zamyka za sobą drzwi. Brat daje jej znak, żeby była cicho i słuchała.

Dziewczyna jest również bardzo wzruszona).  
Pozwól; otworzę drzwi do pokoju matki.

ELJASZ. Czy matka zbudziła się już?

RACHELA. Nie. Ale śpiew ojca usłyszy przecież. (Wychodzi na prawo, nie zamykając drzwi za sobą. Powraca i mówi cicho):  
Uśmiechnęła się.

ELJASZ (przytłumionym głosem). Ach, Rachelo!

RACHELA (wzruszona). Eljaszu! Nic nie mów! Tegobym nie zniosła!

ELJASZ. Patrz, Rachelo! Patrz! Czyż może być co piękniejszego? Setki ludzi stojących w ciszy, w tak głębokiej ciszy naokół kościoła; a on wewnątrz modli się i śpiewa, nie myśląc ani przez chwilę o tem, że zewnątrz ktokolwiek go słucha.

A ci ludzie pogrążeni w grobowem milczeniu, byle tylko jemu nie przeszkodzić w modlitwie!

Patrz, on mówił o modlitewnym łańcuchu... Wszyscy ci ludzie naokół kościoła—to właśnie ten modlitewny łańcuch!...

RACHELA. Tak. (słuchają oboje śpiewu; śpiew się kończy). On tak dużo dziś śpiewa...



ELJASZ. Zamknij teraz drzwi.—Tak dużo ci mam powiedzieć.—Już dwa razy tu byłem i szukałem ciebie.

RACHELA (ostrożnie wychodzi na prawo, wraca i zamyka drzwi za sobą; mówi potem głośniej): Po południu jeszcze więcej ludzi przyszło.

ELJASZ. Przychodzą jeszcze ciągle. O milę odległości. Nie możesz wszystkich widzieć, bo duża ich część znajduje się tam dalej, pod drzewami i słucha czyjejs przemowy. Nie chcą przeszkadzać ojcu. Więc chodzą tam i na powrót między drzewami a kościołem. Ale popatrz w dół ku wybrzeżu.

RACHELA. Co to jest? Na brzegu pełno ludzi. Aż czarno.—Co to jest?

ELJASZ. Okręt misyjny przybył.

RACHELA. Okręt misyjny? Co to znaczy?

ELJASZ. Czy nie wiesz, że aby dostać się na wielkie zgromadzenie misyjne w mieście, ci, co dalej ku Wschodowi mieszkają, wynajęli statek parowy. I ten tu w fjordzie zarzucił kotwicę.

RACHELA. Tu?

ELJASZ. Tak jest; tu.

RACHELA. Ale w jakim celu tu się zatrzymał?

ELJASZ. Aby zobaczyć cud! Kiedy pastor Kroier i jeszcze któryś—nasi posłowie—przybyli w porcie, tam, daleko nad morzem, na pokład statku...

RACHELA. To co?

ELJASZ. ...I zdali sprawę z tego, co tu się wczoraj zdarzyło i że ojciec zawsze jeszcze jest w kościele sam jeden i modli się...

RACHELA. Ach, teraz rozumiem!

ELJASZ. To nikt nie chciał jechać dalej! Wszyscy zażądali, by ich tu przywieziono. Biskup i duchowni prosili załogę, by dotrzymała słowa; ale nikt nie chciał ich słuchać, wszyscy chcieli tu się dostać. A więc ci inni zmuszeni byli poddać się. I teraz są tutaj.

RACHELA. I duchowni także?

ELJASZ. Naturalnie! Biskup i wszyscy jego pastorowie.

RACHELA. Ależ oni chyba nie przyjdą tu, do nas, do domu. Bo w takim razie musiałbyś się przecież trochę inaczej ubrać.

ELJASZ. Nie wytrzymam w innych sukniach.

RACHELA. Nie wytrzy...

ELJASZ. Pałają mnie formalnie. A przytem czuję w sobie jakieś dziwne siły, dziwne siły, zdaje mi się, że muszę wzlecieć ku górze, wznieść się... Tego ci opisać nie zdołam; ale chwilami zdaje mi się, żebym mógł..

RACHELA. Ależ Eljaszu!...

ELJASZ. Patrz! Oto on!

RACHELA. Kto taki?

ELJASZ. Patrz! — Oto on. — Tak, to on. — Przynieśli go tu dziś rano. — Nie mógł się utrzymać na własnych nogach. — Chory był. Ach, tak ciężko chory! — A teraz chodzi już. — Patrz, sam idzie. — Widzisz go?

Dziś, kiedy ojciec zaśpiewał pierwszą modlitwę — a nikt się nie spodziewał, że będzie śpiewać i głos jego tak silnie przenikał serca nasze, że wszyscy musieliśmy się rozpłakać — wówczas ten chory, sam, o własnych siłach powstał, a myśmy tego nie dostrzegli, dopóki nie wszedł pomiędzy nas.

Matka nasza także powstanie, Rachelo! Ja to już czuję, widzę; mam to przed oczami!

RACHELA. Wstanie. Wiem o tem. Czekam na to każdej chwili, a jednak tej chwili się boję!

Czemu się tak patrzysz na mnie, Eljaszu?

ELJASZ. Tak... Bo gdy mówisz tak, to mnie się zdaje czasem, że nadchodzi, zbliża się nieszczęście! I kiedy inni mówią...

RACHELA. Ale dlaczego, Eljaszu?!

ELJASZ. Czasem znowu—jak na przykład w tej chwili—słyszę tylko dźwięk, ale nie słyszę treści słów. Bo równocześnie uszu moich dochodzi coś... coś, czego się nie wypowiada.

RACHELA. Coś, czego się nie wypowiada?...

ELJASZ. Najczęściej zdaje mi się, jakby ojciec mnie wołał... jakby mnie wołał po imieniu, tak samo jak wczoraj rano.

(wzruszony)

On mi nie bez przyczyny dał to imię. I to mi dźwięczy teraz w uchu

i oskarża mnie... Tak, i to jego głosem!

Są chwile, w których ten dźwięk otacza mnie ze wszystkich stron, bezustannie i prześladowuje mnie. Są chwile, gdy mnie bierze ogromnie silne pragnienie narażenia się na jakieś straszne niebezpieczeństwo.

I jestem przekonany, że wyszedłbym z tego niebezpieczeństwa bez szwanku. Nie. Nie bój się! Tu niema żadnego niebezpieczeństwa.

RACHELA. Eljaszu, chodź! Usiądziemy tam w pokoju, przy łóżku matki. Tam przy niej jest taki spokój!..

ELJASZ. Nie mogę. To nad moje siły... Rachelo, odpowiedz mi w miejsce Boga... Przytocz mi ostatnią, choćby najbardziej wyrafinowaną twoją wątpliwość i odpowiedz mi, czy to, czegośmy wczoraj dożyli, było rzeczywiście cudem?

RACHELA. Ach, mój Boże! — Ejaszul! Dlaczego ciągle jedno i to samo?

ELJASZ. Ale powiedz mi, czy to nie jest straszne, że właśnie my oboje tyl-

ko, my jedni, co jeszcze może wątpimy, że my właśnie musimy być jego dziećmi?!

Życie swoje chętnie oddałbym natychmiast, byle tylko mieć pewność.

RACHELA. Eljaszu! Nie mów więcej o tem, proszę cię!

ELJASZ. Powiedz mi tylko, w co ty właściwie wierzysz? To zdarzenie z lawiną... ono jest przecież zbyt potężne, aby mogło być tylko przypadkiem. Prawda? A uśpienie matki! Natychmiast, gdy tylko dzwon się ozwał. Sen. I to prawdziwy sen! Sen pomimo lawiny? Sen tak długi, jak długo on się modli?

Czy to nie jest cudem? Dłaczegóżby i to inne nie miało być cudem?

RACHELA. Eljaszu... Ja prawie mam wiarę, że to cud.

ELJASZ. Wierzysz?

RACHELA. Ale mimo to niemniej się tego boję.

ELJASZ. Bać się, jeśli to rzeczywiście cud? W takim razie nie możesz wierzyć, by to był cud?

RACHELA. Tak.

ELJASZ. Bo to nie może być tylko

jakąś magnetyczną siłą leczniczą? A czy to nie jest wynikiem potęgi jego indywidualności? Nie! To jest czemś więcej. Czy to jest cudem?

Czy jesteś pewna tego?

RACHELA. Teraz nie mogę ci tego powtórzyć. Aby tylko mieć spokój w sobie, siedzę tam przy matce. Jej czystość i uczciwość, zdaje mi się, jakby wypełniała cały ten pokój i jakby odpędzała te wszystkie dręczące pytania. Ale teraz idzie o co innego, Eljaszu!

ELJASZ. O co innego?

RACHELA. Co będzie potem, gdy ona wstanie? Bo na tem nie może wszystko się skończyć. Ostatecznie...

ELJASZ. Ostatecznie?

RACHELA, Ostatecznie idzie tu przeciw o jej życie! (wybucha płaczem).

ELJASZ. Rachelo!—Boże!

RACHELA. Matka nie ma już sił do dalszego oporu. A ojciec bezwarunkowo, nie oglądając się na nic, pójdzie dalej prosto przed siebie. Właśnie teraz.

ELJASZ. Z czem?

RACHELA. Z tem... Z tem: niechaj będzie, co ma być!



ELJASZ. A jednak, jeśliby to przecież miał być cud, Rachelo? Dlaczegoż tak bać się tego?

RACHELA. Ja nie mogę przewidzieć, pojąć skutków tego, dla matki i dla ojca... dla nas wszystkich razem.

Ach! ty mnie nic a nic nie rozumiesz!

ELJASZ. Może w istocie masz słuszość.

RACHELA. Mnie się zdaje, że czemkolwiek to jest, zniszczy nas. Wszystkich nas zniszczy wkońcu.

ELJASZ. Cud?

RACHELA. Tak.—W tem niema błogosławieństwa! — W tem jest coś strasznego, coś przerażającego! Ach, Eljaszu! (cofa się szybko od okna).

ELJASZ. Co się stało?

RACHELA. Tu, tuż przed oknem, stoi jakiś człowiek i wpatruje się tak nieruchomym wzrokiem... Dziwny człowiek... taki blady...

ELJASZ. ...Surdut ma zapięty pod szyję?

RACHELA. Tak. (z okrzykiem przestachu) Już jest tu! Wszedł w dom! (szybko jak-

by unikając spotkania z jakimś zjawiskiem, ucieka do pokoju matki.

ELJASZ. Tu? w domu?

NIEZNAJOMY wchodzi od lewej strony do przedpokoju, przestępuje próg, stoi przy drzwiach milcząc i ogląda się.

## Scena II.

ELJASZ (ujrzawszy nieznajomego). Otóż i on..

NIEZNAJOMY: Czy pozwoli pan?

ELJASZ. Kto pan jesteś?

NIEZNAJOMY. Czy pan chce koniecznie dowiedzieć się o tem?

ELJASZ. Wczoraj pana już tu widziałem.

NIEZNAJOMY. Tak jest. Przyszedłem tu poprzez góry.

ELJASZ. Poprzez góry?

NIEZNAJOMY. Stałem właśnie na szczycie, gdy lawina sunęła w dół.

ELJASZ. Tak?

NIEZNAJOMY. Słyszałem, jak dzwon dzwonił. I dziś widziałem chorego, który powstał, gdy ojciec pański zaczął

pieśń śpiewać. — A teraz chciałbym zapytać się, czy to tutaj matka pańska śpi?

ELJASZ. Tak jest. Ale nie w pierwszym pokoju, tylko w drugim.

NIEZNAJOMY. Ale jeśli teraz wstanie... to tędy wejdzie do tego pokoju? I pójdzie do kościoła, gdzie on?.. Prawda? Pójdzie? I tędy wejdzie?

ELJASZ. Skoro pan sam tak mówisz...

NIEZNAJOMY. Ja tylko pytam pana, a raczej proszę pana, żeby mi wolno było tu pozostać. Zaczekać na nią. Ujrzeć to. Czuję w sobie tak palące pragnienie ujżenia tego, nie mogę dłużej oprzeć się temu pragnieniu.

Ja nie wejdę prędzej, zanim nie uczuję, że *mam* wejść tutaj. I nie będę tu siedzieć i zawadzać. Ale mam nieprzeparte pragnienie wejścia tu i czekania na to i widzenia tego. Czy można? Czy wolno?

ELJASZ. Można.

NIEZNAJOMY. Dziękuję! I muszę panu tylko to jeszcze powiedzieć, że ten dzień rozstrzyga o mojem życiu. (wychodzi).

### Scena III.

ELJASZ. Ten dzień rozstrzyga o jego życiu!...

KROIER wchodzi od strony werandy.

ELJASZ. Słuchaj, spotkałeś tego człowieka? Tego, który idzie tam w prawo.

KROIER. Tak. Kto to jest?

ELJASZ. Nie znasz go?

KROIER. Nie.

ELJASZ. Bądź co bądź to dziwny człowiek.—«Ten dzień rozstrzyga o mojem życiu!» Mój Boże! Teraz znalazłem dopiero najlepsze słowo!

KROIER. I ja spodziewam się tego, Eljaszu, że ten dzień będzie dla ciebie wielkim. Któżby mógł jeszcze dłużej się opierać, po tem wszystkiem, co tu się dzieje.

Już te setki modlących się ludzi naokół kościoła, a on tam wewnątrz, nie wiedzący o niczem! Nie mogę sobie wyobrazić nic piękniejszego!

ELJASZ. Prawda?—O,—ja chcę odpędzić od siebie ten lęk i to wątpienie. Ten dzień musi mi przynieść rozstrzygnięcie! Jakież dumne jest to słowo!...

Walczyłem i cierpiałem, nie mogąc tego osiągnąć! A teraz otrzymuję to jako dar! Wkrótce przyjdzie na mnie pokój! Mówmy o tem dalej!

KROIER. Nie.—Teraz nie. Mam zlecenie do ciebie.

ELJASZ. Do mnie? Od kogo?

KROIER. Przybyłem tu statkiem misyjnym.

ELJASZ. Wiem o tem.

KROIER. A teraz superintendent i pastorowie kazali się zapytać, czy mogą wejść do tego domu na godzinę.

ELJASZ. Po co?

KROIER. Czują potrzebę zdecydowania się, jak mają stanąć wobec wypadków, które się tu dzieją. I nie wiemy o żadnem innem miejscu, gdziebyśmy mogli być tak nieskrępowani i sami między sobą.

Nie dziw się temu tak bardzo! My z zawodu,—to jest z duchownego rzemiosła—mamy obowiązek patrzeć na to wszystko chłodniej, niż ktokolwiek inny. Rozumiesz?

ELJASZ. Ale to mogłoby wytworzyć długi i niemiły rozdźwięk?

KROIER. Ale ten rozdźwięk może się rozwiązać w harmonijny akord. Bo któżby mógł się oprzeć sile cudu?

ELJASZ. Masz słuszność. Ale tutaj? Wsuwać się jakby pomiędzy ojca i matkę. I jeśliby ojciec teraz zaczął znów śpiewać pieśń, to nie moglibyśmy otworzyć drzwi do pokoju matki?

KROIER. Jak myślisz, jaką odpowiedź dałaby im twoja matka, albo twój ojciec?

ELJASZ. Bezwarunkowo przychylną. Masz słuszność. — Niech wejdą w ten dom! — Tylko uwolnij mnie...

KROIER. Wszystkie dyspozycje sam wydam. Ale czy jedne i drugie drzwi do pokoju twojej matki są zamknięte?

ELJASZ. Tak.

KROIER. Skoro wejdą wszyscy tutaj, to zamknę także okna i drzwi.

ELJASZ. I owszem, niech się ci panowie zamkną! Ja idę tam, na dwór i u tych ludzi będę szukał odczucia! Ci trwają w niewzruszonym zaufaniu, iż dziś stanie się jeszcze coś wielkiego... i z pewnością nie czekają daremnie (odchodzi).

KROIER (idąc za nim). Czy chcesz, Eljaszu, abyśmy także się o to modlili?

ELJASZ. Tak. Ja przynajmniej chcę spróbować! (obaj odchodzą).

## Scena IV.

KROIER (wchodząc z głębi). Proszę, niech panowie będą łaskawi.

(wchodzi pierwszy, za nim superintendent i pastorowie. Kroier wraca i zamyka drzwi).

BLANK. Pan zna tu cały ten dom. Czy nie mógłby pan dostać dla nas cokolwiek do zjedzenia.

SUPERINTENDENT. My gramy tu trochę komiczną rolę. Wiem o tem. Ale cała rzecz jest w tem, żeśmy wszyscy przeszli straszną morską chorobę.

BREI. Nic a nic w nas nie zostało.

SUPERINTENDENT. Nareszcie dostaliśmy się na spokojną wodę, i właśnie miano przygotować nam jakiś posiłek, zaczęto gotować i piec, gdy...

BREI. Cud przyszedł!

FALK. Jestem straszliwie głodny.

KROIER. Obawiam się, że tu dziś nikt



nawet nie pomyślał o jedzeniu. W każdym razie zobaczę, czy się co da zrobić.  
(wychodzi).

JENSEN. Mam formalne halucynacje jedzenia. Czytałem wprawdzie gdzieś, coś, kiedyś o tem, — ale tyle się czyta rzeczy, w które się przecież nie wierzy.

Szczególniej mam halucynacje pieczonych kuropatw... tak!

FALK. Kuropatw?

JENSEN. Czuję ich woń, — pieczone kuropatwy!

BLANK. Kuropatwy?

KILKU PASTORÓW. Dostaniemy tu pieczonych kuropatw?

KROIER (powraca, mówi w drzwiach jeszcze). Niestety, nic niema. Byłem i w kuchni i w spiżarni. Wszystko puste. Ani żywej duszy niema.

BREI. Ani żywej duszy?

FALK. A ja jestem tak straszliwie głodny!

SUPERINTENDENT. Moi przyjaciele. — nie grajmy tu zbyt komicznej roli! Musimy się pogodzić z losem i poddać się

temu, co nieuniknione. A więc zaczynajmy!

Proszę, siadajcie panowie! (siada na sofie, inni siadają na krzesłach).

A więc krótko i cicho — bo wiemy przecież wszyscy, że w tym domu jest chora osoba — musimy przedewszystkiem porozumieć się, jakie stanowisko należy nam zająć wobec tego, co tu się stało.

Zawsze byłem tego zdania, że duchowny powinien wobec takich objawów zachować się zawsze — zasadniczo — neutralnie. Ani aprobaty, ani opozycji, dopóki cały ten ruch nie ułoży się i nie uspokoi, bo wtedy dopiero można sobie wyrobić spokojny i przedmiotowy sąd o wszystkim.

Dlatego też było to dziś mojem najszerszem życzeniem, abyśmy mogli ominąć tę miejscowość, nie zatrzymując się w niej wcale.

Niestety, lud nie dał nam popłynąć dalej.

PASTOROWIE (między sobą szeptem). Nie dali przepłynąć mimo. Tak. Lud zmusił nas, żebyśmy się tu zatrzymali.

SUPERINTENDENT. Wszyscy ci ludzie chcieli ujrzeć to miejsce, gdzie stał się cud—to miejsce, gdzie cuda—żeby tak powiedzieć — stały się czemś zwyczajnem. A ja im tego wcale nie ganię.

Ale skoro już raz tu jesteśmy, musimy się zająć tą sprawą i zastanowić nad nią.

Na tym okręcie, którym jedziemy, zechcą także i naszego zdania wysłuchać. A na misyjnem zebraniu, dokąd wszyscy dążymy, będą chcieli również usłyszeć, jaki jest nasz pogląd na tę sprawę. — Ale jakież jest to nasze zdanie, ten nasz pogląd?

KROIER. Niech mi wolno będzie oświadczyć, że cała kwestja przedstawia mi się tak: albo wierzymy w ten cud i działamy odpowiednio, albo też nie wierzymy i również odpowiednio działamy.

SUPERINTENDENT. Hm?—Mnie się здаje, mój młody przyjacielu, że jest jeszcze trzecie wyjście z tej sytuacji.

PASTOROWIE między sobą szeptem). Jest jeszcze trzeci sposób wyjścia. — Tak. Rzeczywiście jest jeszcze trzeci sposób.

SUPERINTENDENT. Im starszym i doświadczeńszym staje się człowiek, tem trudniej mu przyjść do jakiegoś stanowczego przekonania, szczególnie w kwestiach dotyczących się nadprzyrodzonych zjawów. A tu ani pora, ani stosunki nie dopuściłyby żadnego dochodzenia i badania. A teraz, dajmy na to, że przyszlibyśmy ostatecznie do rozmaitych poglądów i konkluzji...

W tych czasach ogólnego wątpienia, jakieby to uczyniło wrażenie, gdyby wszczął się spór duchownych o to, czy gdzieś tam w górach, na dalekiej północy, dzieją się cuda, czy też nie?

Widzę, że stary nasz kolega Blank chce zabrać głos.

BLANK. Jeśli dobrze zrozumiałem waszą wielebność, to rzeczą naszą nie jest wcale rozstrzygać przedewszystkiem, czy tutaj stał się cud jaki, czy też nie. To już jest rzeczą Boga!...

SUPERINTENDENT. Tak, to jest rzeczą Boga! — Otoś znalazł najlepsze, najstosowniejsze słowo! — Dziękuję ci, stary przyjacielu!

BLANK. Jestem tego zdania, że cuda

podlegają także takiej samej wielkiej prawidłowości, tak samo podlegają pewnym prawom, jak wszystkie inne objawy na świecie. Chociaż my odrazu ani tej prawidłowości, ani tych praw wcale nie widzimy.

Moje zdanie jest zupełnie zgodne z poglądem, który w tej sprawie wypowiada profesor Petersen...

FALK. Zapewne w tej swojej książce, której ani rusz nie może wydać i nigdy nie wyda?

BLANK. W książce, którą za kilka lat chce wydać.

Ale cała rzecz jest w tem, jakie znaczenie przypisywać należy poszczególnym cudom, — czy my krótkowzroczni możemy je widzieć, czy też nie.

Jeśli gmina cała sądzi, iż widzi cud, w takim razie my razem z nią chwalcmy Boga.

SUPERINTENDENT. A więc sądzisz, że powinniśmy uznawać te cuda, jako cuda?

BLANK. Ani uznawać, ani nie uzna-

wać. Powinniśmy chwalić Pana razem z gminą i to wszystko.

SUPERINTENDENT. Nie, mój stary przyjacielu. Same hymny pochwalne nie załatwią tej sprawy. Niemi się jej nie pozbędziemy.

PASTOROWIE (szepetem między sobą). Samemi hymnami pochwalnemi sprawy się nie pozbędziemy.

SUPERINTENDENT. Kolega Brei ma głos.

BREI. Ja rzeczywiście nie widzę nic, coby nam mogło przeszkodzić w natychmiastowem uznaniu cudu. Czyż cud jest taką rzadkością? Ja zawsze i wszędzie widzę cuda. W mojej gminie jesteśmy już tak do nich przyzwyczajeni, że nadzwyczajnością wydałoby się, gdybyśmy ich nie widzieli.

FALK. Czyby kolega Brei nie był tak łaskaw opowiedzieć nam cokolwiek o tych cudach, które się dzieją w jego gminie?

SUPERINTENDENT. Nie, nie. Moglibyśmy łatwo zejść na bezdroża od przedmiotu, nad którym się mamy zastanowić. Pan powstał,—czy pan życzy sobie głosu?

JENSEN. Proszę o głos. W tym razie wszystko zależy od faktu, przed którym stoimy. Czy ten fakt jest cudem — może nawet i kilku cudami, razem w jedno złączonemi — czy też nie jest cudem?...

KROIER. Tak.

JENSEN. Każdy poszczególny cud wymaga dokładnego zbadania. Do tego potrzebną jest opinia rzeczoznawców, zaświadczenie lekarskie, i o ile możliwości protokół spisany przez kompetentnego prawnika ze świadkami faktu.

Dopiero na podstawie takich dokumentów, duchowieństwo może stanowczo i wyraźnie wypowiedzieć swoje zdanie duchowne.

Ale pod wyrazem «duchowny» nie mogę mieć na myśli tego, co tu widzimy, ani tego, co słyszymy od kaznodziejów przygodnych, świeckich i od rozmaitych tak zwanych natchnionych i jasnowidzących.

Mam tu na myśli — jak zresztą zawsze i wszędzie — prostą, stanowczą, nagą, trzeźwą prawdę, w której jest



tem więcej «ducha» im ona jest prostsza, bardziej stanowcza i trzeźwa.

FALK. Słuchajcie, słuchajcie!

JENSEN. Wtedy pokazałoby się może, iż ani tu, ani nigdzie nie zdarzają się cuda.

Bo cud nie przychodzi wyczekiwany, witany przez setki, może i tysiące, w podnieceniu i ciekawości!...

Tak,—ciekawości!...

Nie! — cud prawdziwy przychodzi szczerzy, łagodny, cichy i trzeźwy do szczerzych, łagodnych i cichych.

FALK. Mówi, jakby mi z serca wyjął te słowa.

KROIER. Pozwólcie panowie. Muszę tu dorzucić jedną uwagę. Od kiedy pełnię zawód duchowny, zauważyłem, iż najczęściej ofiarą zabobonu padają ludzie trzeźwi.

BLANK. Mam zupełnie takie samo doświadczenie!

KROIER. Ludzie bywają nieufni i przeczą często temu, co jest jasne i wyraźne dla wszystkich. Ale za to przychodzi na nich, jakby z po za nich, niepojęty, niezrozumiały strach i są pod wpły-

wem rzeczy nam bezwarunkowo niewidzialnych.

Ja to sobie tak wyobrażam. Pożądanie nadprzyrodzonych zjawów jest w człowieku niezmiernie silne, odziedziczone i jeśli z jednej strony oprzemy mu się...

BLANK. ...ono przyjdzie z zupełnie innej strony. Jestem zupełnie tego samego zdania.

FALK. Tak. Niech to wszystko sobie pochodzi od trzeźwych czy nie trzeźwych... chciałbym sobie pozwolić tylko na jedno pytanie: czy panowie jesteście zdania, że mamy znów pozbyć się tego porządku i tej jasności wewnątrz kościoła, jakąśmy zdobyli? Czy mamy może znów zacząć marzyć i ni-by być natchnionymi.

Pożądanie cudów tak samo szkodzi drzewu wiary, zabierając mu soki żywotne, jak całe kaznodziejstwo świeckie! To żywioł nieporządku, to choroba, to atawizm.

OBECNI wybuchają śmiechem, inni kaszlą.

SUPERINTENDENT. P-s-st!

FALK. Cud, który nie został uznany

przez duchowieństwo i, że tak powiem, nie otrzymał instalacji i aprobaty ze strony najwyższej władzy duchownej, ze strony konsystorza obradującego pod przewodnictwem Jego Królewskiej Mości, — taki cud jest w mojem pojęciu włóczęgą, włamującym się w dom.

SUPERINTENDENT śmieje się cicho, pastorem także, patrząc mu w oczy.

FALK. Może takie rzeczy są dobre i naiwne, a ja kiedyś także byłem naiwny. Ale duchowny, który w wielkiem mieście o pierwszej godzinie z południa musi się smucić z idącymi w żałobie za pogrzebem, — o trzeciej godzinie musi weselić się z orszakiem weselnym, — o czwartej godzinie idzie do do łoża umierającego nędzarza, a w końcu o piątej jest w pałacu na paradnym obiedzie, — ten duchowny ze wszystkich stron poznaje słabość natury ludzkiej.

I to uczy go jednej rzeczy, — uczy go, by nie przykładał znaczenia i wagi do osobistości, ale by tem większe znaczenie miały w jego pojęciu instytucje.

A jednak tak się dzieje w świecie!

Byłem raz w towarzystwie damskim. Ja sam wśród mniej więcej dwudziestu pań.

(wesolość).

Jedna z tych pań dostała spazmów. Zaraz za jej przykładem poszła druga. Potem jeszcze jedna. Wkrótce sześć wiło się w spazmach.

(wesolość rośnie).

Chwyciłem karafkę z wodą i urządziłem tusz (gest ręką) najpierw tym sześciu, a potem jeszcze kilku innym, bo takie rzeczy są zaraźliwe.

(ogromny śmiech).

SUPERINTENDENT (opanowując się pierwszy) Ps-s-st! (Ale znów wybucha śmiechem, a za nim wszyscy. Opanowuje się). Ps-s-st.

FALK. Taki środek jest bardzo dobry, jak mnie się zdaje. Tylko trochę zimnej wody.

(Śmieją się).

KILKU PASTORÓW ściska Falkowi rękę.

KROIER. Wszyscy znamy Falka jako dobrego człowieka, — mimo jego dziwactwa.

Ale mnie się zdaje, że gdyby on ujrzał tę starą wdowę po pastarze, która

tu mieszka, — prawie stuletnią staruszkę, — to wcaleby jej zimną wodą nie oblał, choć ona jest tu w pobliżu nas jakby uosobienie cudu i wszystkim zaszczenia swą wiarę. To samo jest z młodą dziewczyną, Agatą Florwogen, która pielęgnuje tę staruszkę. A cud, który tę młodą dziewczynę obudził do życia, sam widziałem i wielu innych ludzi prócz mnie. Nasze oczy widziały, nasze ręce czuły, że ona była martwa, zimna i nieżywa. A on modlił się przy niej i wziął ją za rękę i ona powstała.

Chyba świadectwu poważnego człowieka kłamu nie zadacie.

(zdziwienie).

One są tutaj.

KILKU PASTORÓW. Są tutaj?

KROIER. Może tu przyjdą. Ot, idą właśnie tu ku temu domowi. Idą bardzo wolno. Staruszka chce ją widzieć, — chce ujrzeć tę kobietę, której nawet grzmot lawiny nie zdołał obudzić.

Ale przyjrzyjcie się sami staruszel! Pomówcie z nią! I z dziewczyną, która ją prowadzi! Otrzymacie odpowiedź przekonywającą i jasną.

To jedno zaprowadzi nas dalej, niż te wszystkie teoretyczne dyskusje.

Nie mówię tego w tym celu, by kogokolwiek oskarżać. I ja myślałem tak samo jak wy, dopóki nie zostałem pastorem w tych stronach. Nikt tego boleśniej nie odczuł, niż ja wtedy, — jak wielkie ustępstwa poczynić musiał kościół, — jak niedostateczne doktryny i jak ograniczone komentarze krępują nas tutaj, wobec tych ludzi.

Myśmy nędzarze, jeśli nie mamy cudów, — jeśli nie mamy odwagi modlić się o cuda. I my mamy czynić tak, jakbyśmy gardzili niemi, jakbyśmy je mieli w obfitości?

Zdaje mi się, że każdego z was znam dobrze i że wy wszyscy, gdybyście *śmieli*, gdybyście mogli uwierzyć, iż tu rzeczywiście cud stał się, cud wielki, iż nieśmiertelne słowo biblijne stało się prawdą, bo «wszyscy, którzy to widzieli, uwierzyli» — to jakkolwiek słabi jesteście, poddalibyście się jako dzieci, — poddalibyście się zupełnie, ofiarowalibyście swe wszystkie dni do końca życia, aby te cuda głosić!

(Poruszenie, szczególnie między starszymi).



Mogę to śmiało wypowiedzieć i w waszem imieniu, moi bracia drodzy, bo jestem jeszcze wśród tego duchowego pierścienia, o którym się mówi: albo w nim, albo po za nim. Skorośmy w nim — w takim razie wszystkie te marne wykręty odpadają i możemy oddać cześć prawdzie!

Cóżby pozostało chrześcijaństwu, gdyby mu odebrać cuda!

ELJASZ (wchodząc). Przepraszam panów, ale tu przyszła staruszka, która chce odwiedzić moją matkę. To stara wdowa po pastorze.

Wszyscy powstają.

W drzwiach ukazuje się wdowa po pastorze, prowadzona przez Agatę.

ELJASZ otwiera drzwi po prawej stronie i wchodzi do pokojów dalszych.

One idą za nim.

PASTOROWIE ustępują im z drogi z uszanowaniem.

Drzwi po prawej stronie są otwarte.

WDOWA PO PASTORZE (przeszedłszy przez próg). Puść mnie Agato. — Chcę sama zostać. — Sama. — Bo tu, kędy Pan przeszedł, miejsce jest święte. — Święte



miejsce. — Tu patrzy się tylko oko w oko.—Tu najlepiej być z samym sobą.

Stoi, patrząc w głąb pokoju po prawej stronie. Potem skłania się z czcią. Wznosi ręce ku górze, w pełnem zachwyceniu i znów patrzy przed siebie w głąb i znów się skłania.

Potem odsuwa się i powraca.

Biała była... Promienisto biała. Tak się spodziewałam... Promieniście biała... I spała jak dziecko... Widziałam to więc!... Widok ten olśniewa... Ach, jakie światło to rzuca w duszę!... Dzięki ci, iżesz zostawiła mnie samą...

AGATA. Czyżeś była samą?

WDOWA. Zupełnie samą. Nikogo nie było prócz mnie. A ona była promieniście biała... (wychodzą obie).

ELJASZ (wchodzi z prawej strony, zamyka drzwi za sobą). Jedne i drugie drzwi są już zamknięte. A wychodząc i te zamknę za sobą (wychodzi).

PASTOROWIE stoją ciągle jeszcze w milczeniu.

KROIER. Nie mówiliście do niej?

SUPERINTENDENT. Nie.

KROIER. Idzie z jej twarzy blask, jakby światło słoneczne.

A ja wam powiem, skąd idzie ten blask. Ludzie, na których padła jasność cudu, promieniują ten odblask z siebie i rzucają go na innych ludzi. Czy nie będziemy już o tem dłużej mówić?

PASTOROWIE znów zbierają się około superintendenta i siadają.

JENSEN. Pozwoli mi pan na jedno pytanie. Czy pan i nawrócenie także uważa za cud?

KROIER. To, co nazywamy cudem nawrócenia, to da się zbadać psychologicznie krok za krokiem. A więc cudem nie jest.

Inne religje mają również podobne zjawisko jako czysto moralne nawrócenie. Ale chrześcijaństwo właściwie opiera się na cudzie.

FALK. Rysem charakterystycznym chrześcijaństwa nie jest przecież cud, ale wiara w zmartwychwstanie.

KROIER. A czyż tej wiary nie mają inne religje świata? Czyż jej nie mają w sobie wszyscy ludzie o religijnem uczuciu?

FALK. Ale bez zupełnego oddania się.

KROIER. Nie! To już nieprawda!

Pochód męczenników na śmierć, — czyliż on przyszedł na ziemię dopiero z chrześcijaństwem?

Bezgraniczne szczęście poświęcenia się, oddania życia dla tego, co się kocha, czyliż tego nauczyła się ludzkość dopiero od chrystjanizmu?

To było na ziemi dawno, dawno przed chrześcijaństwem. — To i po dziś dzień jest na świecie obok chrześcijaństwa — i to we wszystkich możliwych formach.

SUPERINTENDENT. Cóż pan rozumiesz pod chrześcijaństwem?

KROIER. Dla mnie chrześcijaństwo jest czemś nieskończenie większem, niż tylko moralnym przepisem.

Takie przepisy znajdziemy — i to nawet bardziej szczegółowe i subtelniejsze — także i gdzieindziej, nietylko w Nowym Testamencie.

Dla mnie chrześcijaństwo jest czemś daleko większem niż tylko siłą poświęcenia się. Gdyby ono tylko tem było, wtedy miałyby mnóstwo innych równych mu instytucji.

Albo chrześcijaństwo jest życiem w

Bogu, dalekiem ponad ziemią i wszystkimi przepisami tej ziemi,—albo też nie istnieje. Jest czemś więcej niż oddaniem się pewnej idei, jest nowym światem, nowym cudem (wyczerpany i zmęczony pada na krzesło).

Dużo jeszcze, bardzo dużo — chciałbym powiedzieć — ale już mi sił nie starczy. Nie mogę.

SUPERINTENDENT. Zaraz, kiedyś pan przybył na pokład, widziałem, żeś pan przepracowany i cierpiący. Ale tak dzieje się wszystkim, którzy idą w ślady pastora Sanga.

NIEZNAJOMY (otworzył drzwi od werandy, nie zamykając ich za sobą, wchodzi nieśmiało, zatrzymując się). Czy wolno mi powiedzieć kilka słów?

WSZYSCY oglądają się, niektórzy wstają.

SUPERINTENDENT. Czyżeś to ty? Czyś pastor Bratt?

INNI. Pastor Bratt!...

INNI JESZCZE. To jest Bratt?!...

SUPERINTENDENT. Tyś z nami nie przyjechał. Którędy tu przybyłeś?

BRATT. Po przez góry.

SUPERINTENDENT. Po przez góry? Więc nie chcesz być na misyjnym zgromadzeniu?

BRATT. Nie. Chciałem tu być.

SUPERINTENDENT. Rozumiem ciebie.

BRATT. Chciałem dotrzeć do cudu.— I tak przybyłem wczoraj właśnie, gdy lawina sunęła w dół. Stałem na szczycie, opodał, i słyszałem głos dzwonu.

I później znów tam byłem.

A dziś przed południem widziałem, jak chorego niesiono do kościoła; widziałem, jak ten chory powstał podczas śpiewu pastora, złożył dzięki Bogu i odszedł.

Czy wolno mi dalej mówić?

SUPERINTENDENT. Mów.

BRATT. Jam jest w wielkiem uciśnieniu, bracia moi, i przyszedłem u was szukać pomocy.

SUPERINTENDENT. Mów, kochany!

BRATT. Mówię sam do siebie: oto wreszcie stoję wobec cudu, a za chwilę pytam sam siebie: a jednak czy to jest cud rzeczywiście?

Z nadprzyrodzoną mocą porwało mnie to, com tu ujrzał.

Tu wiara jest głęboka i prosta, a ten człowiek jest wielki.

Ale znów zjawilo się wątpienie.

I to jest przekleństwem mojem.

Przez lat siedem glosilem to, w com sam nie wierzył.

W tych siedmiu latach pytałem zawsze, gdy przysły na mnie dni ciężkie—a przychodziły one często, tak jak i bezsenne noce — pytałem wśród modłów gorących: gdzież jest ta moc czynienia cudów, któraś przyrzekł, Panie, twym wiernym?! (wybucha płaczem).

Gdyby cud zjawił się między nami, tak wielki cud, iżby «wszyscy którzy widzieli, uwierzyli!»...

Najpierw przysłyby miljony w biegu szalonym, — wszyscy ci, co żyją w nędzy i tęsknocie, — ci wydziedziczeni, bezdomni, uciśnieni, cierpiący; wszyscy, którzy pożąday sprawiedliwości.

Gdyby ci usłyszeli, iż Królestwo Boże, w starem tego słowa znaczeniu, znów zesło na ziemię, gdziekolwiek-bądź — w łzach radości, w szale, wie-

dząc nawet, iż w drodze ku niemu grozi im niebezpieczeństwo śmierci...

Lepiej umrzeć na tej drodze, niż żyć na innej!...

Oni wszyscyby przyszli, każdy ze swej wioski, swej chaty, swego łoża,—chorzy byliby pierwsi,—wszyscyby dążyli ku objawieniu Bożemu!

Ale nietylko ci by przyszli.

Za nimi przyszliby wszyscy, którzy szukają na ziemi prawdy.

Najpierw ci, u których popęd ku prawdzie jest najsilniejszy! Ci głębcocy i szczerzy badacze, te wielkie duchy! Ich ogień byłby najwspanialszy, ich wiara najpotężniejszą. Bo nie brak im popędu ku prawdzie, nie brak im zdolności wierzenia. Nie. Im brak tylko cudu!

Oni wszyscy chcą pewności i spokoju—odpowiedzi na to największe pytanie świata.

Nawet ci lekkomyślni, którzy wiarę odtrącili od siebie, jako coś im zupełnie niepotrzebnego i niemożliwego, wszyscy bez wyjątku tęsknią silniej, niż sami o tem wiedzą,—tęsknią za wiarą.



Ale dajcie im pewność!

Dajcie im pewność, że przyrzeczenie się spełni. Gdy ujrzą, uwierzą i w to czego nie będą widzieć.

Panie mój! Boże! Stoję tu wobec ostatniej próby!

SUPERINTENDENT. Pastorze!

BRATT. Wobec tej ostatniej próby mojej. Bo ta walka jest ponad moje siły!

(wybuchu płaczem).

SUPERINTENDENT. Synu mój kochany!

BRATT. Nie! Nie mówcie do mnie!— Proszę was!—Tylko módlcie się ze mną gorąco! Bo jeśli i tu cudu niema, to niema go nigdzie na świecie.—Ten człowiek jest wyższy nad wszystkich, najszlachetniejszy na ziemi!—Nikt nie widział wiary tak potężnej, któraby się mogła równać z jego wiarą. I nikt niema takiej wiary w swą wiarę.

WSZYSCY. Tak, to prawda!

BRATT. Czyż to nie jest jasne? Przybył tu, będąc bardzo majątnym, i rozdał wszystko. Niezliczone razy narażał swe życie, by innym nieść pomoc. I zliczyć się nie da ilość cudów, których on —

jak lud wierzy — dokonał. I właśnie dlatego, że tyle ich było, nie wierzyłem w nie.

PASTOROWIE (półgłosem). I ja tak samo.

BRATT. Ale właśnie możemy powinni byli myśleć przeciwnie, że w nim istnieje to, co ma się rozumieć pod słowem «wiara». Ta wiara przejawia się na zewnątrz jako cud. Ona musi czynić cuda!

Możemy tak powinni byli myśleć?

Ale cokolwiekbyś myśleliśmy o tem, nie wolno nam było patrzeć na niego z tak stanowczem wątpieniem, jak ja, niestety, na niego patrzyłem. Jego miłość, jego wiara powinna była uczynić mnie pokornym. Oskarżam się sam i sam z głębi duszy błagam o przebaczenie!

WSZYSCY PASTOROWIE BEZ WYJĄTKU.  
I ja! I ja!

BRATT. Nie znamy człowieka lepszego, niż on. Nie ma wiary potężniejszej, niż jego wiara. — Czyliż możemy jeszcze wątpić w jego cuda?

(Poruszenie).

JENSEN (szepem). Patrzcie na ten krzyż nad drzwiami! — Czy to jest światło wieczornego słońca, czy też co innego?

BRATT. Nie wiem. Ale bądźcie pewni, że gdy cud się stanie, tysiące się tu zbiegną.

Obyśmy mogli być przy tem! — Tak! Przy tem! Czy możecie wyobrazić sobie, co to znaczy przeżyć tak wielką chwilę, w której «wszyscy, którzy to ujrzą, wierzą!»

I tej chwili mielibyśmy dożyć?... ty, — ty, — ja!... Nie; to za wiele, to być nie może!

Jednak jest to możliwe, — tylu jest nam współczesnych, bracia, tak samo słabych, tak samo mało wierzących, tak samo ubogich w miłość, jak my tutaj...

WSZYSCY. Tak, tak!

BRATT. Gdy patrzę na ten nagi, ciasnny krajobraz, w którym nic nie sły-chać prócz okrzyku mewy, przychodzi mi myśl jedna: Królestwo Boże początek swój miało w kraju bogatym, pełnym słońca.

Jak ogromne byłoby świadectwo, gdy-

by owo królestwo znów w całej swej pełni zeszło na ziemię wśród tej krainy odległej, biednej, blizkiej wieczystego lotu!

FALK (powstaje i szepce blade). Tak, tak!

KILKU INNYCH. Tak, tak!

BRATT. I zdaje mi się, że wszystko razem się łączy i cud przyjąć musi!  
(Wszyscy powstali).

SUPERINTENDENT (cicho). Oby przyszedł i obym ja, starzec, mógł go obaczyć!

BLANK. Oby przyjąć na nas mogła cała moc wiary. Nie dlatego, że na nią zasługujemy, ale dlatego, że jej potrzebujemy!

(Kłęka, kłękają i inni).

BRATT. Bo całe pokolenie jej potrzebuje! A każde, które przychodzi, coraz bardziej. Bo przyrzeczoną nam była. Bo stać się tu musi, jeśli jest!

(kłęka).

Jego wiara to zdobędzie. Jego wiara jest najsilniejszą na ziemi! A wiara może to uczynić! Tak,—może!

Wszyscy. Może!

BRATT. Gdyby on nie mógł, w takim razie wszystko jest niemożliwe!

W takim razie wszystko inne byłoby niemożliwe. W takim razie we wszystkim jest coś, czego osiągnąć nie można?...

Coś, co jest ponad siły?

## Scena V.

RACHELA (za drzwiami woła trwoźnie).  
Eljaszu! (wchodzi z drzwi po prawej, biegnie wprost ku oknu, otwiera je i woła) Eljaszu!

(Obraca się nagle szybko i upadłaby, gdyby Kroier nie pochwycił jej w pól. Wybucho płaczem, podnosi się przerażona i pokazuje na drzwi po prawej).

RACHELA. Tam, tam! ona już nie jest sama! Patrzcie, patrzcie!

(Wszyscy powstali).

ELJASZ wchodzi szybko.

RACHELA (wydziera się z rąk Kroiera i biegnie ku Eljaszowi). Matka! Matka!

ELJASZ. Powstała?

RACHELA. Tak, tak!

ELJASZ. I chodzi?

RACHELA. Tak. Ale nie jest sama!

ELJASZ. To trzeba powiedzieć...

RACHELA. Tylko nie idź do ojca!

ELJASZ. Idę na wieżę i wydzwonię to całemu światu (wychodzi).

RACHELA. Ależ nie masz drabiny! (Nikt jej nie odpowiada; z lękiem) Ależ tam niema schodów!

KROIER (daje jej znak ręką). S-st!

SUPERINTENDENT (szepcem). Ach! Słuchajcie!

Słuchać głos z kościoła.

Alleluja, Alleluja!

Alleluja, Alleluja!

WSZYSCY (padają na kolana, szepcąc). On już wie o tem. On już wie!

KLARA wchodzi w białej płóciennej szacie. Oczy jej zapatrzone są w dal przed siebie. Idzie cicho i wyciąga ramiona w stronę, z której idzie śpiew.

WSZYSCY PASTOROWIE (odpowiadają półgłosem chórem).

Alleluja, Alleluja!

Alleluja, Alleluja!

RACHELA (z zewnątrz). Ojciec stoi w drzwiach kościoła.

Słuchać wyraźny i głośny śpiew.

Alleluja, Alleluja!  
Alleluja, Alleluja!

Dzwon kościelny odzywa się.

Lud zgromadzony poczyną śpiew z taką tryumfującą siłą, iż zdaje się, że śpiew ten idzie z piersi tysięcy. Śpiew wzrasta nieustannie, bo nowe tłumy przybywają. Zda się, iż ten śpiew rozniesie dom w powietrze.

SANG pojawia się w progu w świetle wieczornego słońca.

WSZYSCY wstają i cofają się.

Sang wyciąga obie ręce ku Klarze, stojącej w pośrodku pokoju. Idzie ku niej i obejmuje ją.

Śpiew otacza ich. Pokój pełny jest ludzi. Tłoczą się na werandzie i przy oknie.

Nagle Klara osuwa się w ramiona Adolfa.

Śpiew ustaje, tylko dzwon kościelny dzwoni.

Klara z wielkim trudem usiłuje zebrać siły i wyprostować się. Udaje się to jej tylko w połowie, głowę jednak podnosi i patrzy w oczy Adolfa.

KLARA. Ty wspaniała—tyś przyszedł—mój najukochańszy! (Głowa jej opada, ręce osuwają się bezwładnie, całe jej ciało ugina się).

SANG (stoi, trzymając ją w ramionach, kładzie rękę na jej serce, pochyla się nad nią zdziwiony. Potem patrzy w górę i mówi dziecięcym tonem). Ależ ja tak nie myślałem?...



(Ugina kolano i kładzie nań głowę Klary; bada, czy ona żyje, potem kładzie ją ostrożnie na ziemi i powstaje, patrząc znów w górę).

Ależ ja tak nie myślałem!...

A może?... Może?!...

(Chwyta się za serce i pada na ziemię).

Rachela patrzyła na wszystko jak skamieniała. Widząc, że ojciec pada, z głośnym krzykiem rzuca się na kolana przy zwłokach rodziców.

KROIER. Ale co on chciał powiedzieć przez to «może»?

BRATT. Nie rozumiem. Ale on wskutek tego umarł!

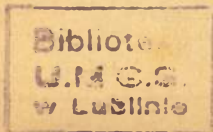
RACHELA. Umarł? To być nie może!

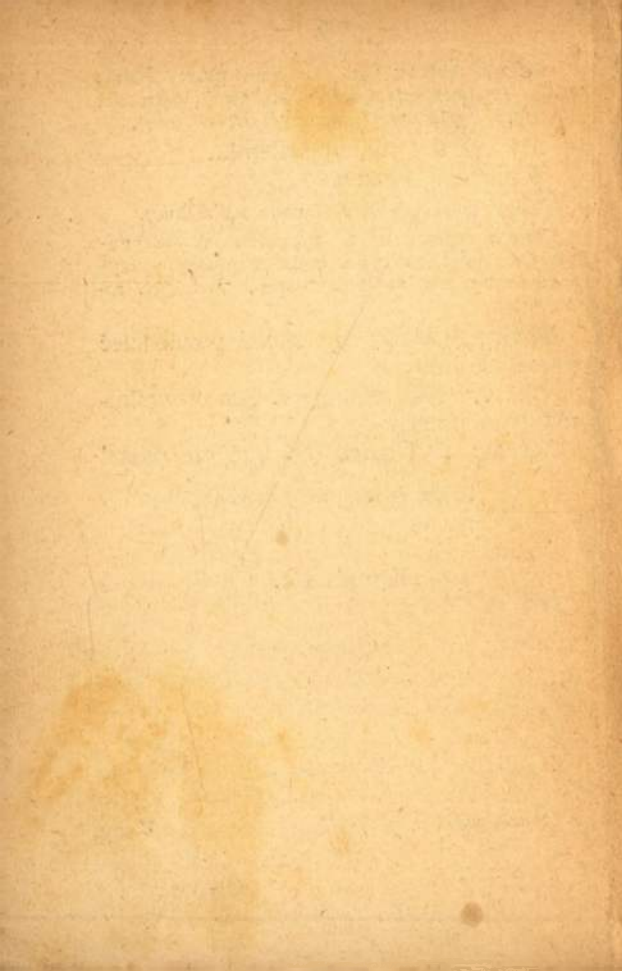
Dzwon wciąż dalej dzwoni.

K O N I E C .

Ponad siły

7"





**KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH**

1. Oszczędność — droga do dobrobytu. Wydanie II. —10
2. John Ruskin i jego poglądy, opracowała M. Bujno. —10
3. Trylogja historyczna H. Sienkiewicza. Szkic krytyczny przez St. Kozłowskiego. —20
4. Co powinniśmy wiedzieć o Adamie Mickiewiczu. —10
5. Moje leczenie wodą, streszczenie dzieła ks. Kneippa.  
I. Zabiegi wodolecznicze. —10
6. — — II. Apteczka domowa. —10
7. — — III. Jak leczyć choroby. —10
8. Sen, bezsenność i środki nasenne, p. D-ra Kühnera. —10
9. Pieniądze, ich powstanie, rozwój i stan dzisiejszy. —10
10. Pierwsze zasady muzyki, podł. Hellera, n. prof. G. Roguski. —20
11. Ignacy Krasicki i jego dzieła, przez F. Łagowskiego. —15
12. Monety wszystkich państw i ich wartość w rublach. —10
13. O zdrowiu i jego pielęgnowaniu. —10
14. Jak pielęgnować dzieci zdrowe i jak leczyć chore, streszczenie podług ks. Kneippa. —10
15. Obliczanie procentu; ułożył Z. Kamiński. —10
16. Z życia zwierząt: Zwierzęta ssące, podług Brehma. —10
17. Jak zachować zdrowie, urodę i młodość, p. E. Fülly. —10
18. Słowniczek wyrazów używanych w muzyce. —20
19. Słońce, podług K. Martina, opracował S. Bouffał. —15
20. Krótka anatomja ciała ludzkiego. Wyd. II (z 34 rys.). —20
21. Gimnastyka domowa bez nauczyciela i przyrządów dla zdrowych i chorych, objaśniona 50 fig. —20
22. O komedjach Aleksandra hr. Fredry (ojca), przez Florjana Łagowskiego. —20
23. Pasorzyty ludzkie wewnętrzne i zewnętrzne, opisał Dr. St. Galecki, (z 26 rysunkami). —10
24. Przepisy właściwego zachowania się w towarzystwie. —20
25. Jak powinien zachować się chory na żołądek, napisał Dr. Wł. Sterling. —15
26. Grzyby jadalne i trujące, z 32 tablicami kolorowemi, podług H. Blüchera, oprac. M. Arctówna. Wyd. II. —50
27. Oświetlenie współczesne, napisał Wł. Umiński (z 20 rys.). —10
28. Wojna o cześć kobiety, ze «Szkiców historycznych» Karola Szajnochy. —10
29. Nad wodą wielką i czystą. Z życia poetów nad Lemanem, przez Fedynanda Hösicka. —20
30. O samokształceniu, podług Pawła Hoche, napisał Antoni Krasnowolski. —20
31. O głosie i jego kształceniu, przez ks. K. Słoneckiego. —10
32. Nauka gry w szachy, opracował Zb. Kamiński. —20
33. Jędrzej Sniadecki, życie i dzieła, nap. St. Brzozowski. —20
34. Jan Kochanowski; życie i dzieła, napisał Fl. Łagowski. —15
35. Fryderyk Chopin; jego życie i dzieła, napisał Al-Ar. —10
36. Podział pracy w naturze i w życiu człowieka, podług E. Haeckela. —10

109. Co każdy człowiek o higienie wiedzieć powinien.  
I. Mieszkanie i odzież, napisała B. Marchlewska. —15
110. Dziecko nerwowe, opracował Dr Władysław Sterling. —20
111. Adam Asnyk, przez Henryka Galle. —20
112. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. III. Pierwsza połowa w. XVII, napisał Fl. Łagowski. —15
113. Krótki rys fizyki. I. O ruchu.— O siłach.— O energii, napisał Stanisław Bouffał (z 11 rysunkami). —15
114. Grunwald, monografia historyczna, nap. M. Offmański. —20
115. Zarys historii literatury niemieckiej. Część I. Od czasów najdawniejszych do Klopstocka, nap. W. Osterloff. —15
116. Ubezpieczenia życiowe, napisał B. Danielewicz. —15
117. Eliza Orzeszkowa. Szkic przez Jana Nitowskiego. —15
118. Stanisław Wyspiański jako poeta, szkic krytyczny, napisał St. Brzozowski. —20
119. Człowiek gienjalny, napisał H. Türk, spolszczył J. Muklanowicz. —10
120. Jak się orjentować na niebie? Krótki zarys topografii nieba i główniejszych gwiazdozbiorów, napisał Paweł Trzciański, z rysunkami w tekście i mapą nieba. —20
121. Kłamstwo. Traktat pedagogiczny dla użytku rodziców i nauczycieli, spolszczył Józef Muklanowicz. —10
122. Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna, napisała I. Moszczeńska. —15
123. Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskiem, opracował A. Krasnowolski. —20
124. Jak badać umysł dziecka? (O zadaniach i metodach psychologii dziecka). Wyd. II, nap. A. Szcówna. —20
125. Społeczeństwo i historia, podług G. Tarde'a, skreślił A. Lange. —15
126. Mięso czy pokarmy roślinne? wskazówki dietetycznego odżywiania się, nap. dr. J. Drzewiecki. Wyd. II. —10
127. Z naszych stosunków ekonomicznych. Kapitały obce w przemyśle polskim. Cła. Artele, nap. Z. Pietkiewicz. —20
128. Krótki rys fizyki. II. O cieczach.— O sprężystości,— O głosie, napisał S. Bouffał (z 16 rys. w tekście). —15
129. Zarys historii literatury niemieckiej. Część II. Od Klopstocka do Göthe'go, napisał W. Osterloff. —10
130. Iljada Homera, streścił i opracował A. Lange. —25
131. O prędkości światła, podług Dra A. Bernsteina, napisał St. Bouffał (z rysunkami). —10
132. Starożytna Grecja, napisała S. Sempołowska —20
133. Jak rozmawiać z dziećmi o kwestjach drażliwych, napisała I. Moszczeńska. —10
134. Złe i dobre wychowanie w przykładach, podł. oryginału niemieckiego, nap. I. Moszczeńska. —20
135. Odezwa do młodzieży męskiej, p. D-ra A. Ilrzena. —10
136. Słowniczek frazeologiczny. Poradnik dla piszących, przez Antoniego Krasnowolskiego. Str. 288. —60
137. Sen i senne marzenia, napisał Dr. Fr. Scholtz. —20

138. Dzieje początków cywilizacji powszechnej, przez Fr. Streisslera, przełożył Zb. Kamiński. —50
139. Psychologia uwagi, napisał Th. Ribot. —30
140. Powietrze i słońce, jako środki lecznicze. —15
141. Czechy i naród czeski. Część I. Opis Czech, napisała Antoszka. —15
142. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. IV. Druga połowa XVII w., napisał Fl. Łagowski. —15
143. Ekstaza, przez D-ra T. Achelisa, streścił z oryginału niemieckiego J. Muklanowicz. —20
144. Wychowanie wychowawcy (Książka Mrówcza), przez Salzmann, tłómaczyła Z. Sennewald. —25
145. O obrocie ziemi dokoła osi, podł. D-ra A. Bernsteina, przełożył S. B. —15
146. Hygiena wieku dziecięcego, podł. Dr. I. Trump, napisał Dr. Sterling. —20
147. O Serbji i Serbach, napisał A. Miecznik. —20
148. O poematach M. Konopnickiej. Prometeusz i Syzyf. Pan Balcer w Brazylji, napisał H. Galle. —10
149. Zwierzęta pod względem budowy ciała, napisał F. Urbanowicz (z 54 rysunkami w tekście). —25
150. Ziemia i jej stanowisko we wszechświecie, podług Neumayera, napisał St. B. —20
151. Nasze pieśni. Najulubieńsze śpiewy z towarzyszeniem fortepjanu, zebrał i ułożył Al-Ar. Muzyka —60
152. — — — Słowa (oddzielnie) —20
153. Pseudonimy i kryptonimy pisarzy polskich, zebrała I. Z — —
154. Odyseja Homera, streścił A. Lange. —25
155. Maeterlinck. Joyezella. Sztuka, tłóm. A. Lange. —20
156. Verga. Rycerskość wieśniacza. Dramat, przełożył i poprzedził szkicem o weryzmie, A. Strzelecki. —10
157. Sofokles. Antygona. Tragedja w przekładzie K. Morawskiego. —15
158. Brioux. Wykolejeni. (Les Avariés). Sztuka, tłómaczył Z. Morawski. —25
159. Brioux. Przyjaciółka. Sztuka w czterech aktach, przełożył T. Jaroszyński. — —
160. Felicjan. Franczeska z Rawenny. Sztuka. —10
161. Zasady etyki, nap. H. Höffding, przeł. Dr Z. Daszyńska. —20
162. Znaczenie studyów nad dziećmi napis. G. Stanley Hall, przekład K. Króla. (Wyd. II.) —20
163. Zarvs historii literatury niemieckiej. Część III. Göthe— Schiller. Napisał W. Osterloff. —15
164. O żywieniu niemowląt, napisał Dr. Bączkiewicz. —20
165. Krótki rys fizyki. III. Nauka o cieple, nap. S. Bouffał. —15
166. Wulkany, przez K. Martin. Trzęsienia ziemi, przez Dr. Meuniera, streścił S. B. (z 5-ciu rysunkami). —15
167. Cyd. Poemat średniowieczny hiszpański, opr. K. Król. —25
168. Zkąd się wziął twój braciszek? Z dziełka Ellis Ethelmer, spolszczyła R. Centnerszwerowa. —15

169. Jan Sniadecki, życie i dzieła, nap. St. Brzozowski. —20
170. M. Arcta Słowniczek wyrażeń i przysłów cudzoziemskich. —25
171. Przyczynek do życiorysu Adama Asnyka, napisał M. Offmański. —15
172. Historia literatury polskiej w zarysie. Cz. V. Wiek XVIII i XIX do Mickiewicza, napisał Fl. Łagowski —25
173. Zarys historii literatury niemieckiej. Część IV. Szkoła romantyczna.—Młode Niemcy. Napisał W. Osterloff.—20
174. Zwyródnienie w świetle nauki współczesnej, napisał Dr M. Bornstein —15
175. Krótki rys fizyki. IV. O świetle, napisał S. Bouffałł. —15
176. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, napisał Dr. K. Łazarowicz (z 50 rysunkami). —25
177. Macedonja i Macedończycy, napisał A. Miecznik. —20
178. Japońja i Japończycy, podług Lauterera i lnnych, napisał A. Strzelecki. —25
179. O kotłach parowych oraz o ich obsłudze, napisał Fr. Skwara. —25
180. Z dziejów ruchu kobiecego, napisała J. Dohm, streściła M. Głotówna. —25
181. Życie artystyczne ludzkości, podług A. Le Roux, streściła W. Zaremba (z 28 rysunkami). —
182. Björnstjerne - Björnson. Rękawiczka. Sztuka w trzech aktach, tłómaczyła M. Bujno. —
183. Historia literatury słoweńskiej, podług A. Pypina, napisał Dobek. —25
184. Krótka stylistyka. Cz. I, napisał H. Galle. —15
185. Nauka harmonji w streszczeniu z przykładami, napisał M. Zawirski. —40
186. Zasady psychologii, przez St. Brzozowskiego. —20
187. Zegarmistrzowstwo, napisał Fr Skwara, z licznemi rys. —
188. Kalidasa. Sakuntala. Sztuka, przełożył podług tłóm. niem. A. Strzelecki. —
189. Hauptman G. Święto pokoju. Katastrofa rodzinna. Sztuka, tłómaczył A. Strzelecki. —25
190. Björnstjerne - Björnson. Ponad siły. Dramat, przełożył A. Strzelecki. —20
191. Atlasik botaniczny kieszonkowy, 126 rysunków kolor. —30
192. Nowiński J. Biała gołąbka. Poemat dramatyczny w 5 aktach. Wydanie II. —35
193. Wyrazy obce w «Sonetach Krymskich» Mickiewicza, opracował etymologicznie L. Radliński. —10
194. Teoria prozy i poezji w zarysie, skreślił H. Galle. —25
195. Nani G. E. Burza w ciemności. Dramat, przełożył A. Strzelecki. —10
196. Pielęgnowanie chorych w domu, podł. D-ra A. Stoeckera, opracował D-r K. Łazarowicz (z 20 rysunk). —25
197. Esperanto. Język międzynarodowy. Część I. Gramatyka i ćwiczenia, ułożył Dr. L. Zamenhof. —20



198. Esperanto. Język międzynarodowy. Część II. Słownik, ułożył Dr. L. Zamenhof. —
199. Pszczelnictwo. Podręcznik do racjonalnego kierowania pszczolami w ulach bezdenkach, przez B. Jasienieckiego. — 5
200. Czy warto żyć, przez W. Jamesa, z angielskiego przełożył W. Kosiakiewicz. — 15
201. W obronie wiary, przez W. Jamesa, z angielskiego przełożył W. Kosiakiewicz. — 15
202. Nałóg, przez W. Jamesa, z angielskiego przełożył Dr. R. Radziwiłłowicz. — 15
203. Wiara i wiedza, przez T. Zieglera, przekład A. Krasnowolskiego. — 15
204. Dyskusja wojownicza i poszukiwanie prawdy, przez R. C. Cabota, przekład Wł. M. Kozłowski. — 15
205. Wskazówki do zbierania, określania i zasuszania roślin, według D-ra K. G. Lutza, oprac. M. Arctówna. —
206. Etykiety do zielnika, ułożyła M. Arctówna. —
207. Grzyby. Część II. —
208. Motyle. Atlasik kieszonkowy, 12 rysunków kolor. — 40
209. Owady. Atlasik kieszonkowy, 129 rysunków kolor. — 40
210. Björnstjerne-Björnson. Bankructwo. Dramat w 4 aktach, przełożył A. Strzelecki. —
211. Steenbuch A. Małe dramaty. Miłość—Kamelja—Po latach, przekład A. Strzeleckiego. —
212. — — W mrokach. — Mazurek, przekład A. Strzeleckiego. —
213. Poeta i świat. Odczyty A. Pileckiego. — 20
214. Lord Byron jego żywot i dzieła, napisał A. Wrzesień. 15
215. Obrazki amerykańskie, przez S. Barszczewskiego. — 29
216. Wskazówki dla nauczyciela początkującego gry fortepjanowej, przez Z. Rutkowskiego. —
217. Jagiełło i Jadwiga, przez K. Szajnchę, streścił E. Łuniński. Część I. —
218. — — — II. —
219. — — — III. —
220. Dusza dziecka, podług D-ra Fleury, n. Z. Sennewald —
221. O chorobach urojonych (imaginacyjnych), napisał D-r F. Kling, przełożył Dr. M. G. — 15
222. Jak zachować się wiosną, latem, jesienią i zimą? napisał Dr. Otto Gotthill-Traenhart, z drugiego wydania opracował Dr. med. L. Wolberg. —
223. Meandry. Strzępy myśli rozwianych, ze wspomnień Felicjana. — 30
224. Heijermans. Służąca. —
225. — — — Małżeństwo. —
226. Wells. Nowele, tłómaczył A. Lange. —
227. Hamsun Knut. Nowele, tłómaczył A. Strzelecki. —
228. Maeterlinck M. Śmierć Tintagilesa, tłómaczył S. Brzozowski. —
229. Mickiewicz A. Grażyna, objaśnieniami opatrzył H. Galle. —



*Nowa prenumerata*

*33 zeszyty po 20 kop.*

# KSIEGA WIADOMOŚCI POŻYTECZNYCH

1.100 stronic tekstu, objaśnionych  
2.500 rysunkami

Aeronautyka — Anatomja — Architektura — Astronomia — Botanika — Chemja — Elektrotechnika — Fizyka — Fizjologia — Geologia — Geografia fizyczna — Hygiena — Kosmiografia — Matematyka — Mechanika — Medycyna — Meteorologia — Mineralogia — Ogrodnictwo — Przemysł — Rolnictwo — Sport — Technologia — Wojskowość — Zoologia — Żeglarsstwo.

Przeznaczeniem tej Księgi jest podanie czytelnikowi informacji szybkich, zwięzłych, a zrozumiałych i jasnych, przypomnienie rzeczy niegdyś mu znanych lub upewnienie go, że wiadomości, jakie posiada w danym przedmiocie, są zgodne z dzisiejszym stanem nauki.

Liczne i wyraźne rysunki objaśniają tekst.

Chlubne uznanie, jakie Księga wiadomości pożytecznych zdobyła sobie na ostatnim Zjeździe Przyrodniczym w Krakowie, jest dowodem jej wartości i praktyczności.

Księga ta jest niezbędną w każdym domu, jest przyjacielem i doradcą, informującym w każdej kwestji, dotyczącej nauki.

Cena za całość rb. 6,

w opr. w płót. ang. rb. 7 — w półskórek rb. 7.50

---

*Prospekt na żądanie bezpłatnie*



Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 10456



1000172203

KRYTYCZNE  
DZIEJE PISMIENNIKIWA POLSKIEGO

TOM VII. FETTERA

**HISTORIA GRECJI**

TOM VIII. JEDD'A

**HISTORIA LITERATURY GRECKIEJ**

TOM IX. GIBBINA

**HISTORIA PRZEMYSŁOWA ANGLJI**

TOM X. WORSFOLDA

**O SĄDZIE W LITERATURZE**

Cena każdego tomu 60 kop.